

Prezydent miasta Poznania
mgr St. Sroka

List z Poznania

W społeczeństwie szczecińskim bardziej zwarte grupy osiedleńcze stanowią osadnicy z Poznania i Warszawy. Związani są oni z tymi miastami wciąż żywymi więzami. Sądzimy, że zamieszczane na lamach „Szczecińskich” korespondencje z Poznania i Warszawy wzbudzą zainteresowanie naszych Czytelników. Cykl korespondencji z Poznania otwieramy specjalnie dla „Szczecińskich” napisanym artykułem zastępczym Prezydenta tego miasta, mgr. Stanisława Sroki.

O powojennej odbudowie Poznania mówi się w całym kraju. Nie jest więc dziś już dla nikogo tajemnicą, że miasto nasze w tej dziedzinie zajmuje jedno z pierwszych miejsc.

Miasto, które cofając się nieprzyjacieli zostawił w gruzach, miasto, które z początku lutego 1945 roku, uległo prawie w 50% zniszczeniu, w trzecim roku niepodległości jest już odbudowane i słusznie szczyci się swymi imponującymi wynikami.

Złożyło się na nie kilka przyczyn, z których najważniejsza: to zgodny i celowy wysiłek całego społeczeństwa, które, nie oglądając się na pomoc, przystąpiło konsekwentnie i z prawdziwie poznańskim uporem do usuwania gruzów, do odbudowy swych domów, warsztatów pracy, sklepów i przedsiębiorstw.

Z takim samym uporem do odbudowy, całkowicie niemal zniszczonej administracji miejskiej przystąpił Zarząd Miejski, przed którym przetrwały się niepoślednie trudności. Dziś przewyżczonego je niemal wszystkie; odbudowano Zakłady Siły, Światła i Wody, usprawniono i rozszerzono komunikację: miejską, uporządkowano miasto, zajęto się odbudową domów mieszkalnych i gmachów urzędowych, szpitali i zakładów użyteczności publicznych, sierotniców i domów starców, bibliotek miejskich, teatrów i sal koncertowych. W każdej dziedzinie sektora prywatnego i państwowego podjęto zmusną pracę od podstaw, gdyż takiej właśnie a nie innej pracy wymagało miasto zniszczone, zbiedniałe, do którego wracało tysiące ludzi przez okupanta wygnanych, miasto wreszcie, które już kilka miesięcy po zakończeniu działań wojennych przekroczyło liczbę mieszkańców z 1939 r.

ODBUDOWA SZKOLNICTWA

Pragnęliśmy tu wspomnieć szerzej o rezultatach, jakie Zarząd Miejski stoł. m. Poznania osiągnął w odbudowie szkolnictwa.

Imponująca odbudowa szkolnictwa powszechnego w Poznaniu, oświaty podstawowej, jest najlepszym sprawdzeniem zamierzeń Zarządu Miejskiego, zdającego sobie sprawę, że dopiero z tego podstawowego gruntu może wyrósć oświata szkolnictwa średniego i uniwersyteckiego. W dobre zapewnienie prawdziwej demokracji pojęcie kultury nie może być pojęciem elitarnym, lecz musi objąć jak najszersze warstwy ludności.

Zniszczenia wojenne w Poznaniu wyrządziły ogromne szkody w budynkach szkolnictwa powszechnego. Z 64 przedwojennych budynków szkół powszechnych przeżyło jedynie 20, w stanie częściowej używalności, był i w tych szkołach nie zastalnymi ani sprzętu, ani nauczycieli.

W takich warunkach nauczycielstwo poznańskie i 32 tys. naszych dzieci przystąpiło do nauki i szkolnej. Bywały wypadki, że dzieci przynosiły ze sobą do szkoły krzesła, aby móc usiąść, nierzadko dzieci siadywały na podłozie. Nauka odbywała się w nieopalanym sąlechu. Z uwagi na brak izb szkolnych nauczycielstwo pracowało na trzy zmiany.

Ludzie zwracali uwagę, na konieczność akcji uszlaktywnej, na niebezpieczeństwo rozszerzenia się gruźlicy.

NAJWIĘKSZA SZKOŁA W POLSCE

Zarząd Miejski przystąpił do pracy, pragnąc jak najszybciej doprowadzić szkoły do stanu przedwojennego. I tak w roku 1947 na szkolnictwo powszechnie Zarząd Miejski przeznaczył 146.197.000 zł. Z tej sumy na remonty i utrzymanie budynków szkolnych wydano 57.626.000 zł. Budowa nowej szkoły, reprezentacyjnej, największej szkoły powszechnej w Polsce pochłonęła sumę 71.882.000 zł.

Na rok 1948 przewidziano na cele szkolnictwa powszechnego sumę 182.920.000 zł. Kwota ta przeznaczona jest na całkowity remont 6 zniszczonych szkół powszechnych, na dokończenie budowy, wspomnianej już największej szkoły powszechnej w Polsce, oraz na budowę 3 szkół powszechnych na przedmieściach Poznania.

Miasto tak olbrzymiego finansowego obciążenia Zarząd Miejski znajduje jeszcze

środki na pomoc dla szkolnictwa średniego i wyższego. Na szkolnictwo średnie wydano w 1947 roku — 22.522.6000 zł, z której to sumy na Gimnazjum Handlowe 6.919.000 zł; na Liceum Handlowe — 3.020.500 zł; na publiczne szkoły zawodowe 8.827.000 zł; na szkolnictwo przemysłowe — 1.055.000 zł; Uniwersytet Poznański otrzymał od miasta 10.000.000 zł. na remont budynków uniwersyteckich. W roku 1948 na pocisk dla szkolnictwa średniego przewidziano kwotę 24.571.000 zł., potrzebną na subsydia dla Gimnazjum Handlowego, Liceum Handlowego i Administracyjnego, Publicznej Szkoły Zawodowej, Wyższej Szkoły Inżynierskiej i Państwowego Liceum Budownictwa.

NA KULTURĘ I SZTUKĘ

Skierowawszy cały swój wysiłek na odbudowę szkolnictwa powszechnego stwierdzić muszę raz jeszcze, że Zarząd Miejski wychodził z założenia, które zdało już swój społeczny egzamin, że najpierw należy wychować konsumentów kultury.

Nie znaczy to jednak, abyśmy poza oświatą nie doceniali w życiu społecznym znaczenia kultury i sztuki. Jakkolwiek Zarząd Miejski odbudowę tej dziedziny życia społecznego w hierarchii zapożyczenia potrzeb, odsunął masial na plan dalszy — to przecież nie zapomniano o niej w naszych dotacjach.

W roku 1947 dopłata miasta do budżetu Opery wyniosła 3.664.200 zł. W roku następnym dopłaty tej już nie będzie, gdyż Opera stała się Operą Państwową.

Na cele Tow. Filharmonii Robotniczej wydano 240.000 zł. (w roku następnym na ten cel przewiduje się 500.000 zł) na kulturalne wydawnictwa miejskie 500.000 (w

roku następnym przenacza się na nie 1.000.000 złotych; (na Archiwum Miejskie 1.539.100 zł.) taką samą pozycję przewiduje się na rok przyszły); na Publiczną Bibliotekę Miejską 4.527.500 zł. (którą to sumę w roku przyszłym podniosło się do 5.692.000 złotych.).

Poza tym miasto ma swą stałą nagrodę literacką i naukową w kwocie 200 tys. zł., wspomaga Tow. Przyjaciół Nauk, zakupuje obrazy i dzieła sztuki, konserwuje pomniki, przeznacza specjalną dotację na Instytut Badania Starożytności Słowiańskich. W 1947 roku założono także Bibliotekę Szpitala Miejskiego.

Więściami z poznańskiego terenu dzieje się w Szczecinie. Dzieleń się nimi z prawdziwą radością, choćby z tego powodu, że związki między naszymi miastami są związkami serdecznymi i datującymi się nie od dziś. Poznań był pierwszym miastem, które zainteresowało się Szczecinem szczerze i bezpośrednio. Ledwie umilkły działania wojenne wyruszyły z Poznania do Szczecina pierwsze grupy pionierskie, by tam na gruzach budować nowe życie. Poznań dał Szczecinowi pierwszych pracowników administracyjnych, pierwszych kupców, pierwszych rzemieślników. W Zarządzie Wazego Miasta pracują Poznaniacy, Prezydent również wywodzi się z Grodu Przemysławia.

Dzielać się więc dzisiaj ze Szczecinem wieściami z Poznania, dzieleń się nimi serdecznie i po przyjacielsku. Życząc w końcu Szczecinowi pomyślnego rozwoju. Poznańska zaś gromada, która w Szczecinie znalazła oparcie, byt i pracę niech miastu temu wywdzięczy się za opiekę należycie wypełnianym obywatelskim obowiązkiem.

DZIEJE NIEMIEC

Jest chyba rzeczą zbędną dowodzić, iż każdy człowiek winien znać przeszłość swoich sąsiadów, a więc Polacy powinni się zapoznać z dziejami Rosji, Niemiec i narodów Europy środkowo-wschodniej. A jeśli tak jest, to łatwo uzasadnić jak dużą usługę oddał czytelnikowi polskiemu Instytut Zachodni wydając historię Niemiec napisaną przez dwóch profesorów Uniwersytetu Poznańskiego: prof. Kazimierz Tymieniecki dał „Dzieje Niemiec do początków ery nowożytnej, a prof. Janusz Pajewski „Niemcy w czasach nowożytnych“.

Prof. Tymieniecki pojął zadanie swoje bardzo szeroko. Nie tylko uwzględnił dzieje narodu niemieckiego, lecz dał pogląd na średniowiecze, oparty na głębokiej znajomości przedmiotu i syntetycznym ujęciu zagadnienia. Stanowisko prof. Tymienieckiego można ująć w ten sposób, że w przeciwieństwie do historyków niemieckich podkreślił w dziejach świętego cesarstwa rzymskiego wieków średnich rolę kościoła katolickiego, tradycji Rzymu starożytnego i monarchii Karolinów, oraz ludów rromańskich, a przede wszystkim Francuzów i Włochów. Poza tym poświęcił prof. Tymieniecki dużo miejsca stosunkowi cesarzów do Polski. Czytelnik może się zapoznać z jego książką ze zmaganiem się państwa polskiego z Niemcami począwszy od Mieszka I aż do Jagiellonów, a także z wysiłkami Niemiec, skierowanymi do tego, by opanować Polskę od cesarzy z dynastii saskiej aż do Habsburgów i do zakonu niemieckiego Krzyżaków.

Prof. Pajewski jeszcze szerzej uwzględnił stosunki polsko-niemieckie niż autor pierwszego tomu dziejów Niemiec. Miał do tego słuszny powód

wszak od XVI wieku zaczyna się formowanie państw Habsburgów i Hohenzolernów, które były sprawcami rozbioru Rzeczypospolitej. Wówczas to — w wieku XVI zdobyli Habsburgowie grunt do opanowania Czech i Węgier, z czego później wyrosła monarchia Austro-Węgierska, a Hohenzolernowie stanęli mocną nogą w Brandenburgii i w Prusach Książęcych, z czego wyrosły Prusy. Państwo Pruskie powstało na ziemi polskiej i warunkiem jego rozrostu było opanowanie Pomorza i Wielkopolski. Dokonał tego Fryderyk II i jego następcy.

Te właśnie procesy historyczne na wschodzie naszego kontynentu, które doprowadziły pod koniec XVIII wieku do zniknięcia Polski z mapy Europy i następnie ciążyły nad jej dziejami w ciągu wieku XIX, znalazły jasne i dobre oświetlenie w książkach prof. Tymienieckiego i Pajewskiego. Ponieważ jest rzeczą konieczną, by opinia polska dobrze się w tym wszystkim orientowała, więc nie wymaga szerokiego uzasadnienia stwierdzenie, iż wymienione powyżej książki powinny znaleźć licznych czytelników. To właśnie, że ich autorzy tyle miejsca poświęcili stosunkom polsko-niemieckim, że uwidatnili rolę Niemiec w katastrofie, jaką przeżył nasz naród, oraz tendencje, jakie istniały i istnieją w łonie narodu niemieckiego do posuwania się ku wschodowi, nadaje historii Niemiec znaczenie aktualne i stanowi o tym, że czytelnik polski obcuje z tymi książkami z niesłabnącym zainteresowaniem, a odkładając je ma przedświadczenie, że wzbogacił swą wiedzę o świecie nie tylko dawnym lecz i współczesnym.

(..ski)

WSRÓD CZASOPISM

Świąteczne wydania trzech najbardziej reprezentacyjnych tygodników literackich przedstawiają się okazale, nie tylko przez piękną i bogatą szatę zewnętrzną, ale przez bardzo szeroki wachlarz poruszonych problemów.

„Kaznodziej” drukuje dwa kapitalne fragmenty Pawła Herta o Słowackim i *Mieczysława Jastruna* o Mickiewiczu. W ciekawym studium o humanizmie i o materializmie Henry Denis atakuje fałszywci humanistów, stwierdzając, że „gdyby zwolennikom nieograniczonych uprawnień osobistych pozwolono działać, strzełoby wkrótce to wszystko, co stało o wartości człowieka.” Kogo argument ten nie przekona, niech sobie przypomni działania hitlerowców, którzy słodki nieograniczony uprawnień „osobiste” w dążeniu do mocy. Autor cytując charakterystyczny fragment z listu Karola Marsa: „My nie przedstawiamy się światu, jako doktrynerzy, odkrywcy nowej zasady filozoficznej: oto prawa dedukuje na kolana. My rozwijamy oświeć światem nowe zasady, wynikające z zasad, rządzących światem.”

W tym samym numerze „Kulniczy” Stefan Żolnier, analizując książkę W. Gomóli „W walce o demokrację ludową”, stwierdza, że trudna droga polskiej inteligencji „wymaga radykalnego zerwania z dotychczasową separacją społeczną i kulturalną od mas ludowych, wymaga zerwania z wieloma zakorzenionymi nawykami inteligentkiej obyczajowości i inteligentkiego życia.”

Problem inteligencji porusza również w „Nowinach Literackich” Edward Csaó. Twierdzi on, że ataki, tak często wymierzane ostatnio w naszych literatów na temat oderwania ich pisarstwa od życia, polegają na nieporozumieniu, dzieła beletrystów polskich są naogół głębokie i ściśle związane z życiem i środowiskiem, mianowicie inteligentkiej „wiedzy z kości słoniowej”. „W momencie, gdy określenie „inteligent” straciło swą pierwotną dotychczasową zawrotną zawrotność, gdy sens tego wyrazu będzie tylko „wzrostnie zawodowy, gdy inteligentem będzie mógł stać każdy, kto ma ochotę i zdolność do spełnienia określonego typu pracy, której konsumentem będzie mogło w zasadzie całe społeczeństwo — w czas nikt nie będzie zarzucał literatom, że nie są związani z życiem ogółu.”

W świątecznym numerze „Nowin Literackich” znajdujemy również ciekawą „Kartkę z życia nauczyciela” — prace Jadwigi Misiałkowej, odznaczoną pierwszą nagrodą w specjalnym konkursie tego pisma. Praca przy dużej wartości literackiej, ma znaczenie dokumentu. Życie nauczyciela polskiego, wypełnione jest niemal nadludzką pracą. Ale — według określenia autorki — spleta się ono w „najpiękniejszy wieńiec”: dni walki „nie tej beznadziejnej, której wynik ogólny odbiera odwagę, ale tej, poza którą stoi zwycięstwo”.

W „Odrodzeniu” K. Z. Skierski drukuje ciekawy reportaż pt. „Kształt sceniczny”. Warto, by reportaż ten przeczytał nasi aktorzy: uchwyciono w nim bardzo trafnie etapy powstania sztuki teatralnej, jako twórczej pracy reżysera i aktora nad tekstem „Powrotu syna marnotrawnego” Brandstaetera. Tadeusz Breza domaga się słusznie rozszerzenia repertuaru granych na scenach polskich sztuk Musseta, podnosząc wielkie wartości niemanego w Polsce „Lorenzaccia”. Głębokie studium o „Don Kichocie”, którego czytelnicy dzielą się na „tych, co się śmieją i tych, co płaczą”, daje Wacław Kubacki. O wymaganiami czytelnika w stosunku do słowa drukowanego pisze Jerzy Andrzejewski: „Nie sądzę, aby frazsy, w których jak na wierzbie plewy fruwały wielkie słowa i zawołania, dopomóc mogły współczesnemu człowiekowi. Nie frazesów oczekują ludzie od prasy codziennej i od pisarzy przede wszystkim. Nikt również nie potrzebuje łatwego optymizmu. Ani demagogicznych chwytów i niesprawiedliwie raniących inwektyw”.

(F)

DR. JÓZEF MITKOWSKI

Krzyżacy nad Bałtykiem

PAŃSTWO MORSKIE BEZ FLOTY

Jeśli dziejowy stosunek Polski do morza ciągle jeszcze wzbudza w opinii naszej zbytek mało zainteresowania, to co dopiero mówić o morskich zagadnieniach w dziejach dawnych naszych sąsiadów. Jednym z nich, i to — jak wiadomo — bardzo niebezpiecznym, był przez trzy stulecia Zakon krzyżacki (1226-1525). Zakon stworzył potężne, sprężyste zorganizowane, zwłaszcza pod względem wojskowym i skarbowym państwo, które ciągnęło się wybrzeżem morskim od rzeki Leby (na zachód od Gdańska) aż po Estonię. Było to więc typowe państwo bałtyckie. Jeśli tyle mówimy i piszemy o polskich zaniechaniach na morzu w dawnej przeszłości, to warto zarazem uprzytomnić sobie fakt, że i państwo krzyżackie nie stworzyło własnej floty na Bałtyku i pozostało potęgą wyłącznie lądową. Zakon uprawiał wprawdzie handel zamorski i to na szeroka skale, ale posiadał znikomą ilość własnych statków handlowych, posługując się najchętniej (i jako udziałowca) okrętami cudzymi, floty zaś wojennej wcale nie posiadał. Aby zrozumieć, dlaczego tak było, przejdźmy pokrótce do dziejów państwa krzyżackiego.

SPROWADZENIE KRZYŻAKÓW I PODOBJ PRUS

Kiedy sprowadzeni przez Konrada Mazowieckiego (r. 1226) krzyżacy osiedli w ziemi chełmińskiej nad dolną Wisłą i rozpoczęli dzieło podboju Prus, zauważyli, że pogańska ludność Prus zaopatrzyła się w broń i żywność drogą morską. Aby złamać opór Prusów, trzeba było odejść ich od morza. W ten sposób wzięły natury militarnej skłonności krzyżaków do parcia w kierunku wybrzeża. Pierwszą wyprawę ruszyli prawym brzegiem Wisły, nad którą założono kolejno: Chełmno, Grudziądz i Kwidzyn. Następnie wyprawę przebieżyła do Zalewu Wiślanego, gdzie założono Elbląg. Dotarłszy do morza skierowali się krzyżacy brzegiem morskim na wschód, budując kolejno Balg, Królewiec i Klajpedę (1255). W ten sposób Zakon odcinał Prusy całkowicie od morza, a także i od Rzeszy Gdanińskiej, którego książe Świętopełk zamierzał wystąpić przeciw krzyżakom. Los Prus był przesądzony, a pod koniec i powstań krzyżacy nie wypuścili już z rąk. Zamieszkałe przez nich także szybko w korzystnych plynących i zbrojnych i zachęcał zakładane przez nich miasta do prowadzenia handlu morskiego.

ZAGARNIĘCIE INFANTLI I ESTONII, WYDARCIĘ POLSCIE POMORZA GDANSKIEGO.

Po podbiciu Prus ekspansja krzyżacka zwróciła się dalej w kierunku północno-wschodnim wzdłuż wybrzeża Bałtyku. Zakon przeprowadził włączenie do swych szeregów „kawalerów mieczowych” w Infantach, którzy zagrożeni z jednej strony przez Litwinów, z drugiej przez Duńczyków w Estonii, nie protestowali przeciw włączeniu się do krzyżaków. (1237). Następnie ograniczyli krzyżacy samodzielność miasta Rygi i poddali jej swej władzy. Wreszcie drogą układową uzyskali od cesarza i od króla duńskiego prawa do Estonii i zajęli ten kraj. Ziemia litewska była teraz z dwóch stron zagrożona przez krzyżaków.

Zakon potrzebował jednak stałego oparcia o Rzeszę Niemiecką i z niej czerpał swe siły, zarówno jak chodzi o rycerzy, jak i o osadników. Starał się więc za wszelką cenę uzyskać połączenie lądowe z Niemcami. To był główny powód zainicjowania krzyżackiego na Gdańsk i Pomorze Gdanińskie, dokonanego z powodzeniem w r. 1309. Krzyżacy pochwylili w swe ręce całe południowe wybrzeże Bałtyku na przestrzeni od zatoki Gdanińskiej po Estonię. W ten sposób zbudował państwo bałtyckie, ale głównym motywem ich działań były ciągle momenty natury militarnej, a nie cele morskie. Zajęci walkami nie próbowali też wcale sięgać po panowanie na morzu.

POWSTANIE HANZY

O panowanie nad Bałtykiem miała się pokusić inna potęga niemiecka, wyrosła w tym samym czasie, co Zakon, a mianowicie Hanza. Napływający licznie na brzegi bałtyckie w wieku XIII koloniści niemieccy, bądź opanowali dawne miejskie i handlowe ośrodki słowiańskie, przenosząc je na niemieckie prawo, bądź też zakładali nowe miasta. Dawne, o światowej nieraz sławie, centra handlowe Skandynawów i Słowian zaczęły podupadać aż wreszcie ginać zupełnie, a ich rolę przejmowały na siebie nowe miasta niemieckie, nieurazach bliższym rozwijającym się sąsiedztwie. Zaniknął przystań Szezwig-Heitabu, a jego kościem rozwinęła się Lubeka; przepędziła stara słowiańska słynna Wineta (Jum-

ne), wyrósł pobliski zniemczony Szczecin; upadło staropruskie handlowe Truso, którego rolę przejął na siebie Elbląg; zniknął dawny waresko-ruski Saeborg, który zastąpiła Ryga; Sztokholm z liczną niemiecką kolonią zlikwidował szwedzkie handlowe miasto Birka. W ten sposób powstała poważna potęga gospodarcza, która stopniowo usunęła i wyparła handel skandynawski i słowiański z Bałtyku. Z chwilą gdy miasta niemieckie porozumiały się z sobą i utworzyły związek czyli Hanzę (nazwa podobno pochodzi od „chadza” - rozbój), potęga gospodarcza stała się zarazem polityczną. Siłą Hanzy była flota i złoto. Słabością — niezgodność interesów poszczególnych członków, którą jednak umiano długo przewyciężać.

KRZYŻACY OPIEKUNAMI HANZY

Krzyżacy od samego powstania Hanzy odnieśli się do niej życzliwie i na tym stanowisku wytrwali do końca. Co więcej, cała zreca, doświadczona i sprawna dyplomacja krzyżacka szła chętnie na usługi hanzeatów, z którymi wprawdzie państwa liczyły się, jako z posiadaczami potężnych kapitałów i floty, ale z którymi, obyczajem średniowiecznym, jako z kupcami nie chcieli nieraz w ogóle rozmawiać. Istniało bowiem przekonanie, że człowiek pracujący za pieniądze i dla zysku, jest tym samym sprędnym i nie zasługującym na wiarę (inaczej niż rycerz).

Nie chciał wprawdzie Zakon mieszzać się do wojen Hanzy, jak np. do wojny z królem duńskim Waldemarem IV Atterdagiem, który powziął myśl opanowania Bałtyku przez Danię, poczynił zwycięstwo w Szwecji (co miało być wstępem do zjednoczenia wszystkich trzech krajów skandynawskich, a wreszcie zaczął ograniczać Hanzę w jej handlowych swobodach. Krzyżacy, pod wielkim mistrzem Winrichem z Kniprode nie poparli Hanzy ani w pierwszej wojnie (1361-2), która przyniosła jej klęskę, ani w drugiej (1363-70), która Hanza, poparta przez miasta hanturyjskie i angielskie, wygrała, co dało jej przewagę na Bałtyku na lat kilkudziesiąt. Zakon nie chciał natomiast wystąpieniem zrobić sobie wroga z Danią, czuł bowiem, że zbliża się do decydującej rozgrywki z Polską.

Z całą natomiast energią występował Zakon na drodze dyplomatycznej, broniąc przywilejów Hanzy w Anglii, Flandrii i innych krajach.

PRÓBA STWORZENIA POTĘGI MORSKIEJ

W mistrz Konrad von Jungingen nie mógł patrzeć biernie na wzrost potęgi duńskiej. W kwietniu r. 1393 podjął on jed-

ną i wyjątkową w dziejach Zakonu wyprawę morską. Wypłynęła ona od ujścia Wisły w siłę 84 okrętów i 4.000 zbrojnych (co było w ówczesnych stosunkach siłą od dawna nie widzianą na bałtyckich wodach), wylądowała na Gotlandii, zgłosiła usadowionych tam korsarzy i opanowała wyspę wraz ze stolicą Wisby. W ten sposób wpadła w ręce Zakonu bardzo ważna baza morska na Bałtyku, jeden z kluczy do panowania nad nim.

Naprawdę królowa Małgorzata domagała się zwrotu wyspy. Krzyżacy ani myśleli wypuszczać z rąk tak ważną placówkę i siłą odparli zbrojną próbę królowej zmierzającą do odebrania im Gotlandii. Zaoferowano jej, że Zakon, stworzywszy pierwszorzędna potęgę lądową, zechce z kolei także sięgnąć po panowanie na morzu Bałtyckim.

Istniał jednak czynnik, który całkowicie pokrzyżował plany niemieckich rycerzy. Czynnikiem tym była Polska. Państwo polsko-litewskie gotowało się wyraźnie do rozprawy walnej z Zakonem. Królowa Małgorzata, oglądając się po nieudanej próbie zbrojnego odzyskania Gotlandii za sprzymierzeńcami przeciw krzyżakom, zaczęła porozumiewać się z Polską. Widmo wojny na dwa fronty, a w jej następstwie nieuchronna katastrofa i zagłada, przerażyli Zakon. Aby uniknąć śmiertelnie dla siebie niebezpiecznego działania wojennego Zakon zdecydował się zrezygnować ze swych planów morskich. Oddał Małgorzacie Gotlandię po zaplaceniu przez nią okupu wycofując się całkowicie z drażniące Skandynawów morskiej polityki (1409). Wrogi wobec Zakonu państwo polskie sprawiło, że krzyżacką próbę stworzenia bazy morskiej i własnej potęgi unicestwiono w zarodku.

CIOS GRUNWALDZKI I ZMIERZENIE ZAKONU

Już z końcem XIV wieku mnożyły się trudności stawiane kupcom hanzeatyckim w różnych krajach. Podjął w r. 1393 przez króla Władysława Jagiełłę próba skierowania handlu polskiego przez Pomorze Zachodnie wykazała, jak bardzo dobrobyt miast krzyżackich zależy jest od Polski. Wreszcie cios grunwaldzki (1410) wstrząsnął samymi podwalinami państwa krzyżackiego. Na tle ogólnego pogorszenia się warunków materialnych skutkiem klęski zarysował się coraz wyraźniej antagonizm między miastami pruskimi (członkami Hanzy) a Zakonem. Zakon bowiem, starając się zdobyć jaknajwiększe dochody, do-

wolnie zamykał i otwierał dostęp do handlu morskiego, co więcej, prowadził we własnym zarządzie handel morską, zwłaszcza zbożem i to w porównaniu z handlem miejskim uprzywilejowany; nie wahał się też z uszczerbkiem swych miast sprzedawać obcym kupcom koncesje na eksport zboża z Prus; wreszcie obłożył handel miast wysokim cłem. Wszystko to uderzało dotkliwie w interesy miast i powodowało pogłębiający się szybko rozdziew między nimi a Zakonem. Rozdziew ten doprowadził w końcu do buntu miast pruskich („wojna trzynastoletnia”, 1454-66) i do poddania się ich królów polskiemu. Stanowisko miast pruskich odbiło się na ogólnym stosunku Zakonu i Hanzy: Między dotychczasowymi sprzymierzeńcami zapanała głęboka niechęć. Obie strony spostrzegły się wprawdzie po pewnym czasie, że wiele tracą na niezgodzie i próbowały na nowo nawiązać solidarne współdziałanie, ale już było za późno. Nadeszły nowe czasy i obie średniowieczne potęgi i Hanza musiały nieuchronnie zejść z dziejowej widowni.

KRZYŻACY WOBEC BAŁTYKU

Widzieliśmy więc, że krzyżacy nie przystępowali do budowy swego państwa z jakimś gotowym planem polityki morskiej. Znaczenie militarne, a także gospodarze dostępu do morza zrozumieli jednak bardzo szybko. Przez długi okres prowadzili nawet sami przez urzędników zakonnych bardzo żywy i zyskowy handel morską, głównie zbożem, lecz nie na własnych statkach. Ich stosunek do Bałtyku wyraził się przede wszystkim w popieraniu związku miast niemieckich czyli Hanzy. Powstała ciekawa symbioza (w latach 1250-1523): Hanza rosła w potęgę pod opieką militarnej potęgi Zakonu i pod osłoną jego dyplomacji, Zakon zaś korzystał z jej poparcia, zwłaszcza w statkach. Z rozkwitem Zakonu przeżywała Hanza własny rozkwit, z upadkiem Zakonu związany był jej upadek.

Nie stworzył Zakon własnej potęgi morskiej, nie chcąc narazić się państwem skandynawskim, co mogło grozić wojną na dwa fronty.

Przezorna to była polityka. Okazało się bowiem, zarówno w okresie grunwaldzkiego pogromu jak i w czasie wojny trzynastoletniej, że państwa skandynawskie dochowały neutralności a Zakon uratował przez to swą egzystencję. Z drugiej jednak strony brak silnej floty własnej odbił się na krzyżakach fatalnie. Bitwa morska pod Elblągiem (15. IX 1463), w której miast, popięła słabą flotę krzyżacką, stała się punktem zwrotnym w wojnie trzynastoletniej, a więc wstępem do klęski i zagłady Zakonu. Trzeba z całym naciskiem podkreślić, że właśnie Polska była tym czynnikiem, który spowodował w zarodku krzyżackiej próby stworzenia potęgi morskiej na Bałtyku i poważne zahamowanie postępów niemieckiej Hanzy.

Dr Józef Mitkowski

PROF. KAROL GÓRSKI

Pierwsi dominikanie polscy w Kamieniu

Jeszcze do niedawna utarło się w opinii polskiej, nawet naukowej, kończyć związki Pomorza Zachodniego z Polską na dacie 1181, kiedy księża szczecińscy złożyli hołd cesarzowi niemieckiemu. Dopiero ostatnie lata przyniosły pierwsze próby podważenia tej opinii zbudowanej przede wszystkim na niemieckich pracach. Tu, na terenie w źródła ubogim, gdzie w dodatku źródła te stworzyli przede wszystkim przybysze niemieccy, świadomi pisma a wszelkim śladom i pozostałościom polskim niechętni, każda, nawet najdrobniejsza wzmianka, każde nawiązanie ma swoją wagę ogromną: pozwala ono odkryć nurt żywy, pulsujący życia słowiańskiego, nie przytłumionego jeszcze przez przewagę niemiecką.

Dominikanie przybyli do Kamienia w r. 1228 lub nieco wcześniej, skoro pierwsi bracia zakonu kaznodziejskiego znaleźli się w Polsce w 1224/25. Byli to wszystko Polacy, na czele ich stał krewny biskupa krakowskiego Iwona Odrowąża, św. Jacek, obok niego występuje bł. Czesław, uznawany

dotąd za Odrowąża. Ostatnie badania O. Jacka Woronieckiego*) wykazały, iż jest to późna i niewiarygodna kombinacja historyków zakonu: brat Czesław Odrowążem nie był. Co jest ciekawe, imię jego pisano Tesław, co brzmi tak, jak imię rugijskiego księcia z XII wieku, którego zwano Cieszysławem, Ciesławem, Tesisławem, Tesławem.

Mogłoby to rugijskie imię u dominikanina polskiego i towarzysza biskupa Iwona być przypadkiem, gdyby nie fakt, że przy fundacji dominikanów w Kamieniu występuje ono ponownie. Oto dominikanie otrzymali kościół św. Idziego, stanowiący własność rycerza pomorskiego imieniem Zetławu. Niemcy szczególnie pochodzący z północy, oddawali często dźwięk „c” przez litery „tz”, imię więc dawnego właściciela kościoła brzmiałoby Czesław, jak je zresztą czasem pisano. Sam kościół, noszący wezwanie św. Idziego jest bardzo stary: kult św. Idziego sięga w Polsce czasów Władysława Hermana, który modlił się do świętego z Prowansji o potomka męskiego: modły zostały wysłuchane i przyszedł na świat Bolesław, zwany Krzywoustym. Za jego czasów kult św. Idziego rozwijał się w Polsce, jak

dowodzą tego cud, który święty spełnił na cześniku Sieciechu. Stary tedy kościół w Kamieniu sięgać będzie niewątpliwie czasów zdobywcy Pomorza i poświęcony został świętemu, którego otaczał on szczególną czcią i kultem. Darowali go dominikanom właściciele, zwani Zetławicami, Czesławicami. Istotnie kamieński Czesław, zwany Zetławem, Cetławem, syn Uniny (Unimic) zmarł w r. 1227. Syn jego Stojsław piastował jak i ojciec godność kasztelana kamieńskiego.

Czesławicami — a musiało ich być więcej — darowali zapewne kościół św. Idziego nowemu zakonowi, by modlił się za duszę zmarłego ojca. Wybór ich padł na Dominikanów zapewne nie bez wpływu osoby brata Czesława, towarzysza św. Jacka który później w latach 1232-1236 był nawet prowincjałem polskim.

Imiona pierwotne były własnością rodu, tylko rodowcy mogli ich używać. Tak np. nikt nie ośmielił się nazwać syna Mieszkiem, Leszkiem, Ziemowitem, Bolesławem, Kazimierzem przez cały czas panowania Piastów. Władysławowie się zdarzali w XV w., ale był święty król węgierski tego imienia. Kazimierz pojawia się poza rodziną królewską dopiero od śmierci św. Ka-

(ciąg dalszy na str. 4-tej)

*) O. J. Woroniecki O. P. Bogosławiony Czesław dominikanin 1175(?) - 1242 Opole 1247.

Dominikanie Polscy

(ciąg dalszy ze str. 3-ciej)

zimirza syna Kazimierza Jagiellończyka, Bolesław występować zaczyna dopiero w XIX w. Tak samo było w obyczaju ródów ryckich nadawać dzieciom imiona rodowe. Zwyczaj ten utrzymał się do połowy w. XIII, potem poszedł w niepamięć. Ale jeszcze w XII w. gdy urodził się Czesław zwyczaj ten był w pełnej mocy i trzeba wyjątko, by otrzymał imię nie rodu swojego, a rodu matki. Dlatego prawdopodobnym jest pochodzenie b. Czesława z pomorskiego rodu Czesławiców.

Ale idziemy dalej. Czy była to gałąź rugijskiego domu książęcego, osiadła w okolicy Kamienia? Na Rugii panował odmienny obyczaj dziedziczenia, niż na Rusi w rodzie Rurykowiczów i w Piastów. W Polsce i na Rusi oraz w Czechach młodszy synowie otrzymywali księstwa dzielnicowe i nie tracił praw do tronu. Dlatego zrzucali oni raz poraż panujących i sami sięgali po władzę wśród wojen domowych, które prowadziły państwa na skraj przepaści. Inaczej było na Rugii. Tu młodsi bracia otrzymywali uposażenie w ziemi i dawali początek rodom ryckim, tracąc prawo do rządów. Dlatego na Rugii nie było wojen domowych, państwo było jednolite i silne.

Czy więc Czesławice mogli być potomkami rugijskiego domu książęcego, który zgodnie z panującym obyczajem młodsze gałęzie traktował jako wojów, wyposażonych jedynie hojniej od innych? Nic nie stoi na przeszkodzie temu mniemaniu. Czesław był panem możnym, skoro piastował godność kasztelana. W r. 1176 występuje też jako kasztelan kamiński ojciec jego Unima, syn jego Stojsław jest również kasztelanem w tymże grodzie. Zapewne posiadali oni znaczne dobra w okolicy Kamienia. Przybycie przodków ich z Rugii nastąpić musiałyby dawno, około Unima, ojciec Czesława, jest już tu osiadły. Zapewne wyemigrowali z kraju już w czasach pogańskich, ale świadomości pochodzenia nie utracili.

Kościółek św. Idziego zmienił z czasem swe wzniesienie: stał się kościółem Najsw. Marii Panny. Stoi dziś ogolony z wewnętrznego urządzenia, opuszczony i wystawiony na działanie niepogody wśród popalonych domostw kapitulnego „Wyku”. Książęta pomorscy wyposażyli dominikanów w plac, na którym stał klasztor, którego dziś nie ma. W pobliżu znajduje się ulica rybacka. Rybacy to byli w okresie germanizacji prawie zawsze Słowianie. Zatrzymywano ich przy miastach, przywiązując do gleby. Tak w Chelmnie nie wolno było im trzymać więcej niż 2 krowy, 1 świnia, dwa wieprze, parę koni. Gęsi trzymać nie było wolno wogóle. Nie mieli rybacy prawa osiadać poza wyznaczoną okolicą, a cały połów ryb musieli dostarczać niemieckiemu mieszczanństwu. Zapewne w sąsiedztwie owych słowiańskich przypisańców osiedli dominikanie w Kamieniu. Należeli oni do końca istnienia swego (za czasów reformacji) do prowincji polskiej i niewątpliwie głosili kazania polskie dla resztek pomorskich, skupionych w osadzie rybackiej na kapitulnym „Wyku”. Należy przywrócić do użytku kościółek św. Idziego posiadający drugie wzniesienie Najsw. Marii Panny jako świątynię związaną z początkami misji polskiej na Pomorzu oraz przez dominikanów polskich tak ściśle — z Krakowem. A obok znaleźć się powinien ulica b. Czesława, Pomorzanie przebywającego u boku Iwona Odrowąża przy katedrze wawelskiej, który stał się w końcu życia obrońcą Wrocławia przed Tatarami i był tam czczony jako polski pafron miasta.

Autorskie wieczory Koźniewskiego, Gałęzińskiego i Broniewskiego przyciły dwie premiery teatralne. Stało się to z krzywdą dla teatrów. Wszakże goście pozostaną gośćmi, a wartości kulturalne Szczecina mierzyć się będzie nie okazynym, pożyczanym splendorem, lecz własną zamożnością.

Nieraz, pisząc o teatrze, oskarżam sam siebie o nadmiar wymagań. „Wiesz przecież — mówi mi moje przyjazne teatrowi „ja” — że bez pieniędzy, bez możliwości doangażowania wybitniejszych artystów, szczupły zespół może grać tylko te sztuki, do których znajduje się jaka-taka obsada, że brak kostiumów na wieczny, zdaje się, depozyt złożonych w Poznaniu, że nie ma kogoś, kto przyzwolcie opracowałby tekst” i cały szereg jeszcze innych przyczyn i skutków, stanowiących wystarczające „okoliczności łagodzące” dla każdego oskarżyciela teatru. Ale nie można uwolnić teatru od odpowiedzialności. Skoro jest w Szczecinie już nie „Komedia Muzyczna”, lecz **Teatr Polski** i to bez cudzysłowu, nie można rozgrzeszyć go a priori ze wszystkich błędów.

„GŁUPI JAKUB” RITTNERA

„Głupi Jakub” Rittnera miał być ekspiacją za „Dzień bez kłamstwa”. Tymczasem już na wstępie cisnie się pytanie, co będzie ekspiacją za „Głupiego Jakuba”? Ale oto to drugie „ja”, recenzenta, przyjaciel i obrońca teatru, tręca mnie znacząco, przywołuje do porządku...

„Głupiego Jakuba” uznano za arcydzieło Rittnera. Jest w tej sztuce cała, tak dla autora charakterystyczna, dwiistość. Z pochodzenia Niemiec, ze skłonności Polak — jak sam mówi o sobie — z dwoma zawodami (literat i urzędnik), waha się między komedią i dramatem, „kiedy chodzi nogami po ziemi, wówczas zadumana jego głowa buja gdzieś w niebie poezji” — powie o nim Boy-Zeleński.

Tak i tutaj. Obok beznadziejnie smutnego, dziś dla nas odrzucającego świata ramola-tyrana, głupich, choć nieszczerliwych, jego krewnych, amoralnie ambliwnej Hani i podstępnej pary: Katarzyna i Doktor (Wieckowska, Czabanowski) — stawa autor idealistą Jakuba, bezwzględnie go wyznawcą prawdy życiowej, entuzjastą pracy dla niej samej. Już to przeciwstawienie jednego sprawiedliwego tyłu niesprawiedliwym świadczy o pesymizmie autora. Ale nie na tym koniec. W ten niesympatyczny świat tchnął Rittner-optimista iskry współczucia dla samotności Szambelana; drugą iskry humoru w beznadziejność ubóstwa krewnych; rzucił światło prawdziwej miłości w serce Hani i zaraz zatrął ją żądzą bogactwa, nawet parze Katarzyna-Doktor gotów wybaczyć dla ich miłości rodzicielskiej.

Takimi chciał mieć swe postaci Rittner. Przedstawienie w Teatrze Polskim rozbiło w druzgali tę refleksyjność sztuki. Raz tylko jeden, gdy Jakub mówi o pracy dla

ziemi i miłości do niej, zza błędów inscenizacji wyjrzał Rittner prawdziwy. Reżyser p. Rychłowski, skreślił wprawdzie w ostatniej chwili — podobno na próbie generalnej — epizod z Prezesem, i słusznie. Ale nie pomyślał o tym, by dokonać odpowiednich skrótów w I akcie. Dłuższy dialogów zmalałby przy bardziej komediowym ujęciu postaci Szambelana, urosły natomiast w naturalistycznej interpretacji tej roli przez p. Rychłowskiego. Sceny dwukrotnego rozstawiania się Hani (Czosnowska) z Jakubem były żywym wzajem z siebie skłopotowane. Problem etyczny — roli prawdy w życiu — zginał przegrany przez jednostronne wygranie obrazu degeneracji warstwy ziemianskiej. Rittnerowski dialog oszpecała rozwalka i hałaśliwa dykcja Szambelana. Sytuacji nie zdołał uratować doskonale Daszewski jako Teofil. Z rolą Jakuba poradził się Zieliński, brakło mu jednak pomysłu i pomysłowości w opracowaniu niemieckiego rozpaczy. Układ postaci na scenie w akcie III (moment nocnego in flagranti) — fatalny. Jednym słowem, gdzieś zapodziało się mistrzostwo scenicznego Rittnera, który wszak grał swe sztuki przed wystawieniem na scenie we własnym teatryku marionetkowym. Po wiewsekcji dokonanej na tym „klasyczny ostatnich dni starej Europy” — jak Rittner nazwał Grzymala-Siedlecki — został zeń ledwie autentyczny naturalizm, podobny Zapolskiej, jednak bez szczypty soli atyckiej humoru czy satyry.

Wielki wysiłek aktorski, dobre chęci kierownictwa, zgrabnie pomyślane dekoracje Rajkowskiego, możliwość zrobienia z przedstawienia „pozycji repertuarowej” — wszystko zaprzeczono. Brakło opracowania, brakło wzajemnej współpracy między trzema zasadniczymi składnikami teatru: aktorem, kierownikiem literackim i reżyserem-inscenizatorem. Stare, ciągle powtarzające się błędy. Chyba jednak nie stana się one narowem...? Post scriptum. Nie mogę odmówić sobie satysfakcji sprostanowania uwag jednego z recenzentów. Wytyka on autorowi zamieszanych w programie teatralnym informacji o Rittnerze, że wymieniony tam w dorobku powieściopisarza-novelisty „Most” jest najlepszym jego dramatem. Tymczasem „Most” Rittnera jest rzeczywiście powieścią, a „Misi” — dramat wyszły spod pióra „Sztandarowego” W. Starycy usiósł na hotelu recenzenta, by „uwać Miodzi, Marcina”.

„CZŁOWIEK, KTÓRY SZUKAŁ ŚMIERCI”

Ale chodźmy do Teatru Małego. Szaniawskiego „Ptaka” przypomniała mi wystawiana tam rumuńska komedia Eftimiu „Człowiek, który szukał śmierci”. Rola, ożywiającego sennie życie miasteczka, studenta w komedii Eftimiu spełnia Włóczęga. On to sprawia, że Filimon ujrzy w sobie „pomazańca” na burmistrza, Lenoncu z aptekarza zmieni się w detektywa-polityka, synek jego, bierny jak tubka piramidon, poczucie się pełnoletnim, a nawet afektowana pani Haluka zdoła dzie się nieoczekiwanie na bohatera: „Wracam do mamy”.

Leopold Milanowski

WACHTA

Kazałem się obudzić piętnaście minut przed północą, ale budzę się wcześniej. Na morzu śpi się jednym okiem i jednym uchem. W liliowym świetle nocejnej lampy widzę wskazówki sekundnika. Tik, tik, tik, tik. Dobrze jest trochę jeszcze poleżeć. Mam dwie minuty czasu, — za 17 dwunasta. Prawie że czuję uderzenie fali o burtę. Ostre, krótkie, nerwowe. Idziemy pewnie dużą szybkością. Słyszę kroki w korytarzu. Poznaję po sposobie objania się o ściany marynarza Grude. On pełni służbę wachтового gońca w drugiej zmianie. Z zasłony przy drzwiach ukazuje się zadarty nos Grudy i zachrypnięty falset obwieszca „Panie Kapitanie melduję za kwadrans dwunasta”. „Dobrze”. Jednocześnie słyszę rozgłosnie okrętową: „Pierwsza wachta bojowa nocna przystopować się”. Zapalam białe światło i wyskaku-

Ta jej afektacja, przesadnie podkreślona przez p. Dobrzańską, zabiła przedstawienie. Z zabawnej komedii, której dialog skrzy się dowcipnymi aktualnościami na temat zarządu miejskiego, sposobów prowadzenia kampanii wyborczej, propagandy — zrobiła się farsa, przypominająca dawne czasy Teatru Małego. Szkoda tym większa, że teatr ten tak bohatercko boryka się z trudnościami.

W Szczecinie można bowiem znaleźć — trzeba tylko wiedzieć jak szukać — słuchaczy nawet na trzy kolejne wieczory gościnne, ale nie ma dostatecznej ilości widzów dla wypełnienia dwóch widowni teatralnych...

Z wykonawców wyróżnili się dwaj: Na granicy prawdy i zmyślenia utrzymywał się szczęśliwie Fabisiak (Włóczęga). Na plan pierwszy jednak wysunął się Michałowski, któremu zdaje się znacznie bardziej odpowiadają role charakterystyczne niż role amawtów. Jego Leonescu był zabawny i prawdziwy, urozmaicony w ruchach i geście bez uchybień utrzymywany w charakterystycznej dykcji, dobrze czuł się w dyskretnie komicznym kostiumie. Reszta wykonawców nie wykraczała poza przeciętność.

Patrząc na te niepowodzenia naszych teatrów, trudno oprzeć się refleksjom na temat, czy nie lepiej byłoby, gdyby oba teatry połączyły się? W imię interesów teatru i aktora? Tak. I dla dobra widza. Wówczas może łatwiej daloby się sprawdzić do teatru owe „masy”, które teatru jeszcze się nie nauczyły, choć wmawia się w nie, że winny dyskutować o linii repertuarowej. Trzeba ją wpróżd dostosować do potrzeb chwili i widza, a później — utrzymać. Niejedno jeszcze przysłałoby się teatrowi szczecińskiemu. Wprawdzie prezydent miasta, inż. Zarembka przyrzekł na poszczególne sztuki subwencje do wysokości 600.000 zł. rocznie, ale jak będą wyglądały sztuki wystawiane „własnym sumptem” teatrów? Skąd wziąć na dekoracje i jeszcze kosztowniejsze kostiumy? Skąd je wypożyczyć?

A teatrowi trzeba pomóc! Tylko któremu, bo się rozgnają oba. Teatr Polski uroczajnie wznawia „Mojeżony Penelope” nowymi efektami scenicznymi (przeżrocz), ma dobrego dekoratora w osobie p. Rajkowskiego, zapowiada gościnne występy reżyserkie Dąbrowskiej i Chaberskiego. Teatr Mały natomiast z kontraktował już podobno sztukę szczecińskiego diamaturga, p. Bożyma „Imieniny”. Byłaby to pierwsza w Szczecinie prapremiera.

Teatr szczeciński powinien być pierwszą troską regionalnego planu kulturalnego.

Walerian Lachnitt

— Kurs generalny 120° obrotów 180. Zygzak 15 — co pięć minut zmiana kursu”

„Dobrze — meldunków o spotkaniu okrętów nie było?”

„Nie. Co na drodze to nieprzyjacieli.” „Dobra, idź pan spać.”

„Przyjemnej wachty.”

Jaś znika w zejściu, a ja zajmuję swoje stałe wachtowe miejsce między sterem, a tubą głosową.

Następuje zmiana wachty. Na pomoście i przy działach ruch.

Wzrok przyzwyczail się już do ciemności. Widzę już dobrze horyzont, grzebień fal, tajemnicze plamy rybnych ławic, przypominające ślad ścigacza.

Po prawej stronie swój brzeg. Po lewej burcie niebezpieczeństwo spotkania nieprzyjacielskiego ścigacza.

Podają do dział „Celownik wachtowy 2000. Pociaki oświetlające w pogotowiu” —

Sam nastajam się marsowo. Senność pierzcha. Co pięć minut daję komendę na ster, prawo piętnaście lewo piętnaście i tyle. Nic się nie

W szczecińskiej szkole podoficerów

Mgr. Jerzy Brinken

Morskie wybrzeże woj. Szczecińskiego

Linia wybrzeża morskiego województwa Szczecińskiego wynosi 246 km, co stanowi ponad 45 proc. całego polskiego wybrzeża.

Wybrzeże to cechuje pustynność, zwraca również uwagę niezwykłe wyrównanie linii brzegowej.

Dawne występy i przylądki wyżynne wyraźnie są ścięte, dawne zalewy i zatoki zasypane piachami lub zarosłe torfem. Właściwy brzeg, niegdyś silnie urozmaicony i postrzępiony, leży dziś kilkanaście km w głębi lądu i tylko gdzieś zblizła się jeszcze do morza.

Pomiędzy tym dawnym wysokim wybrzeżem z jednej strony, a współczesną linią wyrównania Bałtyku z drugiej, ciągnie się pas piasków nadbrzeżnych — najmłodszy twór morza i wiatru. Morze niezmordowanie buduje i poszerza plażę, wiatr prześypuje wciąż drobny piasek kwarcowy w rozległe wały i pola wydmore. Wśród piasków prześwytują jeszcze tu i tam resztki dawniejszych zalewów, dziś już bardzo skurczonych i wypłyconych w postaci jezior nadbrzeżnych.

Piasek i woda — to dwa podstawowe elementy krajobrazu nadmorskiego na Pomorzu Szczecińskim.

Tę niedostrzeganą, ale stałą pracę wieków, złobiących wybrzeże Bałtyku i niosących olbrzymie ilości piasku, wykonywuje prąd morski, płynący wzdłuż brzegu z zachodu na wschód. Ale tylko częściowo. Wytlumaczenie tego procesu znajdujemy w geologii, która zbadała dokładnie dzieje Bałtyku.

Przed dwudziestu tysiącami lat lodowiec, stopiwszy się na naszym terenie pozostawił po sobie pamiątkę w postaci olbrzymiej ilości glin, piasków i żwirów, zniesionych ongiś z gór Skandynawskich na otaczające obniżenia terenowe.

Po ustąpieniu lodowca blok skandynawski uległ dwukrotnie ruchom wznoszącym to opadającym. W czasie wznoszenia Skandynawii pojemność Bałtyku kureczyła się, a linia brzegowa cofała. W czasie opadania nadbałtyckie niziny zanurzały się w falach morskich.

Dlatego też niegdyś linia brzożna Bałtyku biegła prosto do Darłowa, a Odra uchodziła do morza aż pod Rugią. Wówczas to na północ od dzisiejszych wysp Uznam i Wolin rozciągała się obszerna nizina, urozmaicona zwalnymi utworów lodowcowych. Gdy w następnej swej fazie Bałtyk zalał te obszary, fale jego rozmyły wyniosłości morenowe, a materiał ich ułożyły w postaci dzisiejszej Ławicy Odrzańskiej, która na obszarze 80 km kwadratowych zanurzona jest zaledwie 8—10 m poniżej poziomu morza.

Stąd właśnie prąd zachodni czerpie olbrzymie zapasy piachu i niesie je ku wschodowi.

Dalsze wytłumaczenie znajdujemy w ruchach pionowych Skandynawii, której wznoszenie udziela się też, choć w małym stopniu, terenom sąsiednim, między innymi i naszemu wybrzeżu szczecińskiemu. Ruchy wznoszące wyrażają się szczególnie między Darłowem i Łebą. Powoduje to wypłykanie się wód przybrzeżnych i cofanie linii brzegowej. Tym samym strefa piasków nadbrzeżnych rośnie i stale poszerza się.

„Bogiem wojny dziś artyleria“ — śpiewa powracający z ćwiczeń pluton haubic Podoficerskiej Szkoły przy Szczecińskim Pułku Artylerii. W ślad za śpiewającym oddziałem wchodzi w bramę. Jestem w towarzystwie oficera przydzielonego mi na przewodnika przez mjr. Grysiaka. Szkoła Podoficerów, miejsce wtajemniczenia kilkadziesiąt młodych ludzi w podstawowe arkana sztuki wojennej, to skrzydłowy budynek koszar. Przy wejściu strzelec służbowy Baterii Szkolnej. Lubię wojsko — to też jestem mile zdziwiony, gdy zgrabny, dobrze prezentujący się młody chłopak, dziarsko

styczny, prawdziwe arcydzieło wykonawcy, a raczej wykonawców. Jest to bowiem praca uczniów Szkoły — młodych podoficerów — instruktorów artylerii. Przedstawia plastyczny wycinek okolic Szczecina. Uwzględniono w nim wszystko, co może służyć jako pomoc dla żołnierza łączności: miniaturowe linie przewodów wysokiego napięcia, linie normalnych połączeń telegraficznych, nawet nierówności modelowanego terenu jako ewentualną przeszkodę przy instalowaniu tymczasowych połączeń telefonicznych. Porucznik Pankiewicz wyjaśnia mi, że sposób nauczania przy pomocy plastycznych wzorów daje doskonałe wyniki. Żołnierze szybciej przyswajają sobie wszelkie wiadomości teoretyczne widząc równocześnie ich praktyczne zastosowanie.

Podoficer artylerii, jako przyszły instruktor żołnierza musi być wyszkolony wszechstronnie — stwierdza mój cicerone, prowadząc mnie do sali, gdzie odbywają się zwykłe wykłady o broni. Sala jest dosłownie wypełniona nowoczesnym uzbrojeniem, począwszy od pistoletu, a skończywszy na armacie wcale pokaźnego kalibru. Broń rozkręcona jest „do ostatniej śrubki“ — każda poszczególna część zamku, lufy, magazynu zaopatrzone jest w kartkę wyjaśniającą nazwę techniczną, nazwisko konstruktora i sposób montowania.

W sali wykładowej dla saperów Szkoły zwraca uwagę, naturalnej wielkości kukła żołnierza przecinającego „w pozycji zasadniczej“ normalne zaskieki z drutów kolczastych.

Przestałem się dziwić — zacząłem tylko skrzętnie notować: Gmach nowoczesny, dwupiętrowy. Długie korytarze, wiele sal wykładowych: telefoniczna, saperska, chemiczna, dwa magazyny broni, czytelnia i świetlica. — Izby sypialne zmięrczy schudnie i praktycznie umeblowane. Wyrównane rzędy metalowych łóżek, zacięlonych „pod kant“, jednakowe szafki. Wszędzie instalacje elektryczne. Prostota i oszczędność w wykorzystaniu miejsca i urządzeń technicznych — przy każdym kontakcie elektrycznym, każdym kranie wodociągowym ostrzegający napis: oszczędzaj światło! oszczędzaj wodę! Wielka wspólna jadalnia, czysta kuchnia z magazynem żywnościowym, duża nowoczesna natryskowa łazienka... Po prostu nie nadążam z no-

towaniem wszystkich szczegółów, tym bardziej, że wchodzimy do sali wykładowej telegrafistów.

Grupa żołnierzy uczy się alfabetu Morse'a. Kilkastru z nich wystukuje na aparatach, wmontowanych w stoły, szyfry i meldunki — jeden przyjmuje. Zapytuję pierwszego z brzegu żołnierza jak daje sobie radę z nadawaniem? W odpowiedzi wystukał mi aparatem Morse'a: „niezłe“.

Po cichu, nie przeszkadzając, wyciągamy się, kierując nasze kroki do świetlicy. Trafiłszy na pagadanę o literaturze polskiej. Jeden z przyszłych celowniczych działowych usiłuje przypomnieć sobie wszystko, co tylko wie o Mickiewiczu. — Prawdopodobnie żołnierz ów wolałby napewno ostre strzelanie na ćwiczeniach — powaga jednak przyszłego wychowawcy wymaga odeń również znajomości zagadnień nie specjalnie związanych ze sztuką wojowania. Rozumieją to zresztą i inni uczniowie Szkoły chętnie spędzający wolne od zajęć służbowych chwile w świetlicy Baterii.

Sala luksusowo urządzona. Jest radio, są gazety, gry towarzyskie i obrotowy kierownik w osobie pana kaprala. I on i świetlica spełniają należycie swoje zadania.



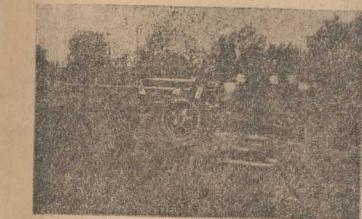
W świetlicy 34 PAL-u

— Zostałbym w Szkole dłużej — niestety... Czas, jaki przeznaczylimy sobie z porucznikiem Pankiewiczem na zwiedzanie upłynął. Szkołę Podoficerów opuściłem z żalem.

Sympatyczni, młodzi chłopcy — wszyscy z 26 rocznika. Pochodzą przeważnie z Krakowskiego, Rzeszowskiego i Podhala. W większości rolnicy.

Wierzymy, że napewno wszystkim uda się skończyć Szkołę z dobrym wynikiem. Wierzymy, że wszyscy bez wyjątku będą dobrymi podoficerami artylerii.

MARIAN SYGANIEC



Ćwiczenia aplikacyjne

melduje się memu przewodnikowi. Pytam go czy mógłbym żołnierzy „wyciągać na słowa“.

— Naturalnie... ale Pan był w wojsku — prawda?

Zrozumieliśmy się, wszyscy — porucznik, służbowy i ja: tajemnica wojskowa. Żołnierz służbowy pochodzi z Podhala. Autentyczny góral, nie mówi jednak gwara. Zaintrygowany tym pytam go o wykształcenie. Skończył tylko 7 klas szkoły powszechnej.

Ciekawe w jaki sposób obywał — a obecnie strzelec Starucha, daje sobie wobec tego radę z zawilim dosyć prostym matematycznym obliczaniem odległości do celu w czasie strzelania artyleryjskim. Zapytany o to wyjaśnia mi, że w Szkole nauka matematyki postawiona jest b. wysoko.

— Zeby móc dobrze strzelać należy znać funkcje trygonometryczne kątów.

Przy tych słowach towarzyszący mi porucznik Pankiewicz uśmiechnął się, jakby dając tym samym do zrozumienia, że jeszcze nie jedna rzecz w Szkole wyda mi się conajmniej dziwną.

Przyznałem mu najzupełniej rację w momencie zwiedzania sal wykładowych, szczególnie sali łączności. Uwaga moja przykuł tutaj wielki stół pla-

dzienie. Od czasu do czasu zamiatam lornetką pół horyzontu — Nic. Na niebie widzę jedną nogę Oriona. Za nami mruga Wega. Patrząc na zegarek, 20 po dwunastej. Dopiero 20 minut — 4 zygzaki.

Idę na tył pomostu poobserwować trochę sektor rufowy. Skulone postacie obsługi maszynowej prostują się trochę, starając się zrobić wrażenie większej czujności. Nic nie widać. Robi się coraz ciemniej. Chmury zakrywają Oriona. Robię dwunastą zygzak. Godzina wachty minęła. Melduje się nowy wachtowy przy aparacie podsłuchowym. Oni zmieniają się co godzinę, — my co czterdzieści.

Posyłam wachtowego oficera artylerii na rondę. Morze zaczyna fosforować. Wzdłuż burty, rozbita fala pełna jest jakby świętojańskich robaczek i tykania żyrokompasu... Gdzieś tam na brzegu pojedynczy, zabiakany jakby, snop reflektora przejechał się po nieboskłonach i zagasł. Przywołują mnie do rzeczywistości i zaczynam przepatrywać horyzont. Nic. Robimy dwudziesty

zygzak.

Na pomost wchodzi dowódca z depeszą o wyjściu niemieckich ścigaczy.

„Uważać dobrze na lewą burty“ podaje do dział. I znowu spokój. Czasami mocniej zadźwięczy wentylator, lub elektryczna pompa. Straciłem już rachubę zygzaków. Artylerzysta wrócił z rondy. Wszystko w porządku.

Zapadamy znowu w półczuwanie. „Przed dziobem torpeda“ wrzeszczy czujka działa 2.

„Lewo na burty, 50 obrotów więcej. Wstrzymujemy oddech.“

Okręt kładzie się na burty, zwraca. Na pomoście jak makiem siał.

Wlatuje dowódca: „Ster zero.“

Okręt prostuje się, trzeszczy w wiązaniach i mając większą szybkość bierze na siebie fale.

Melduje dowódcy sytuację. Pewnie ścigacz.

W aparacie podsłuchowym cisza. „Oświetlić horyzont“ daje rozkaz dowódca. Kilka pocisków oświetlających rozwidnia noc. Nic.

„Kto widział torpedę?“

JERZY PORADOWSKI

Rybacktwo morskie u ujścia Odry

OSIĄGNIĘCIA w 1947 r. — ZADANIA w 1948 r.

„Szczecin jest w roku 1948 sztandarowym zadaniem w odbudowie Polski Ludowej”
— z przemówienia V-Ministra Żeglugi dr. K. Petrusiewicza na otwarciu Państwowej Szkoły Morskiej w Szczecinie, w dniu 5. XI. 1947 r.

Rybołówstwo morskie nad Zalewem Szczecińskim odbudowuje się na trzech odcinkach, z których każdy, w zależności od właściwych mu warunków, ma określony kierunek rozwoju i specyficzne zadania do spełnienia.

Mowa tu o rybołówstwie zalewowym, bałtyckim i dalekomorskim. Odbudowa dwóch pierwszych kierunków rybołówstwa wg. założeń planu trzyletniego, opracowanego przez Komisję Rybacką Centralnego Urzędu Planowania w Szczecinie, powinna osiągnąć w roku 1947 — 50% stanu maksymalnego, w roku 1948 — 75%, a w roku 1949 — 100%. Rybołówstwo dalekomorskie, jako zagadnienie nowe w tym rejonie, ma postanowione cele wykraczające poza program odbudowy.

W ZALEWIE SZCZECIŃSKIM

Zalew Szczeciński wraz z wodami znajdującymi się w granicach Polski (część zalewu pozostała w granicach Niemiec) posiada powierzchnię ca 50.000 ha i można na nim złowić w ciągu roku przynajmniej 1.500.000 kg ryby. Luźność rybacka eksploatująca ten teren, zakładająca, iż 100 ha wody wystarczy dla utrzymania jednej rodziny, winna składać się z 500 rodzin i 1000 czynnych zawodowo rybaków.

W styczniu 1947 r. mieliśmy następujący stan faktyczny: flota rybacka składała się z 12 kutrów zalewowych, 37 łodzi motorowych, 84 łodzi wiosłowo-żaglowych. Rybaków czynnych było 99. Rozporządzali oni 90 włokami, 2.571 sieciami zastawnymi, 59.760 haczykami.

W listopadzie 1947 roku mieliśmy już 27 kutrów zalewowych, 90 motorowych łodzi, 235 łodzi wiosłowo-żaglowych zdolnych do połowów. Rybaków czynnych jest 475. Rozporządzają oni 148 włokami, 3.316 sieciami zastawnymi, 45 niewodami, 207.250 haczykami. Złowiono w jedenastu pierwszych miesiącach 1947 roku 966.929 kg ryby.

Cele wytyczone przez plan trzyletni dla Zalewu, jeżeli chodzi o ilość aktywnych rybaków, zostały w roku 1947 osiągnięte. (Cel — 500 rybaków, osiągnięto w XI-475). Wyniki połowów przekroczyły założenia planu o 35% (cel — 750 ton, osiągnięto w I-IX 967 ton). Założone przez Morski Instytut Rybacki, Centralę Rybną i Morską Centralę Zaopatrzenia punkty sprzedaży sprzętu rybackiego zaopatrują rybaków w wystarczającą ilość towaru. Wątpliwa (nieustalona) dla rentowności rybołówstwa jest sprawa wysokich cen komercyjnych za sieć i sprzęt, co może podważyć jego opłacalność.

Zagadnieniem postawionym przez plan, a rozwiązany stosownie do jego założeń, jest sprawa taboru i motorów rybackich. Miano wprowadzić do pracy 20 nowo zbudowanych łodzi i 20 nowych motorów. Weszło do pracy 8 łodzi zbudowanych na Zalewie i 3 łodzi ze stoczni w Uście i Mosinie; nie otrzymaliśmy natomiast ani jednego nowego motoru. Podany przybytek w taborze i motorach w ciągu ubiegłego roku jest zasługą rybaków, którzy wydobyli z dna zatopione wraki, wyremontowali je i doprowadzili do stanu używalności. W roku 1948 rybołówstwo zalewowe ma postawione zadanie osiągnięcia połowów w wysokości 1.125 ton, osiedlenia i wyszkolenia takiej ilości rybaków, aby w ostatnich miesiącach roku było czynnych 750.

Dla osiągnięcia tych wyników musi być położony nacisk na następujące zadania:

- Zorganizowanie właściwie kierowanego zaopatrzenia w sieć i w sprzęt. Ustalenie cen sprzętu opłacalnych dla rybołówstwa.
- Rozwój metod połowowych właściwych dla rybołówstwa słodkowodnego a w szczególności rozwój i odpowiednie jego uregulowanie.
- Rozwój żeglarstwa w rybołówstwie zalewowym.
- Wydobywanie 40 nowych łodzi rybackich i wprowadzenie do pracy 45 nowych motorów (zmiana zużytych). Poważnie liczy się tu na rozpoczęcie produkcji motorów rybackich przez fabrykę Zjednoczenia Przemysłu Motorzwojowego (dawn. Stoever).

e) Objęcie zimowymi kursami szkoleniowymi wszystkich rybaków zalewowych. Obsługa od strony ładu nakłada na przedsiębiorstwa skupu i rozprowadzenia ryb obowiązek zorganizowania odbioru ryby bezpośrednio z wody do rybaka przy pomocy pływających kutrów-sadzy, oraz magazynowania zapasów naturalnego lodu w wszystkich miejscowościach nad zalewem. Poczynione w roku 1947 obserwacje skłaniają do dezhydratu, aby w rybę w pierwszym rzędzie był zaopatrzone ośrodki miejskie Szczecina, a dopiero po jego nasyceniu nadwyżki kierowano w głąb kraju. W roku, który minął, działo się inaczej, a nawet często odwrotnie.

NA BAŁTYKU

Połowy bałtyckie od Świnoujścia do Dziwniej dawały przed wojną ca 3.000 ton ryby rocznie, zatrudniając 500 rybaków posługujących się ca 60 kutrami, 25 łodziami motorowymi i 120 żaglowo-wiosłowymi.

Stan faktyczny w styczniu 1947 r. przedstawiał się jak następuje: 7 kutrów zdolnych do łowienia, 13 łodzi motorowych, 15 łodzi żaglowo-wiosłowych. Rybaków czynnych było 42, rozporządzali oni 35 włokami, 514 sieciami zastawnymi i 14.940 haczykami.

Po roku odbudowy, w listopadzie 1947 r. mieliśmy 10 kutrów łowiących, 20 łodzi motorowych, 47 łodzi żaglowo-wiosłowych. Rybaków czynnych 127. Stan sprzętu: 37 włoków, 664 sieci zastawne, 41.450 szt. haczyków.

Wyniki połowów za okres I—XI 1947 r. wynoszą 692.726 kg ryby.

Zadania wynikające z założeń rozwojowych 3-letniego planu zostały na tym odcinku wykonane tylko w 50%, jeżeli chodzi o liczbę aktywnych rybaków (cel — 250 rybaków, osiągnięto w XI-127) i o wyniki połowów (cel — 1.500 ton, osiągnięto I-XI 47 r. — 693 tony). Przyczyną tego stanu wynikają z niedomagań komunikacji kolejowej i innej, oraz związanej z tym słabości aparatu rozdzielczego i siłowego (chłodnictwo). Hamowało to osadnictwo rybackie i kierowanie na ten odcinek taboru ze starego wybrzeża.

Kłopoty w zaopatrzeniu w sieć i sprzęt są istotne w rybołówstwie bałtyckim jak i zalewowym. Podobnie ma się sprawa z taborami i motorami, które jako prze-

starzałe nie rokują dłuższej służby jak od dwu do czterech lat.

Rok 1948 stawia przed rybakami bałtyckimi zadanie osiągnięcia wyniku połowów w ilości 2.250 ton i podwyższenia ilości zawodowo czynnych w rybołówstwie do liczby 350.

Osiągnięcia te uwarunkowane są położeniem nacisku na następujące zagadnienia obsługi od strony ładu:

- Usprawnienie komunikacji z zapleczem przez wykorzystanie uruchomionych ostatnio linii kolejowych z Kamienia (Dziwna) i Warszowa (Świnoujście) oraz uruchomienie transportu ryby wodą do Szczecina przez rzekę Dziwnę i Swinę.
- Zbudowanie małych chłodni w Dziwniej, Świnoujściu i na bliskim zapleczu w Wolinie, oraz zorganizowanie składow naturalnego lodu w Świnoujściu, Międzyzdrojach i Dziwniej.

Gdy warunki te zostaną osiągnięte rybakcy muszą dojść do:

- Przesiedlenia 10 kutrów wraz z załogami z starego wybrzeża do Świnoujścia oraz sprowadzenia na ten odcinek 10 nowo zbudowanych łodzi motorowych.
- Wprowadzenia do pracy 5 nowych motorów kutrowych, oraz 10 motorów łodziowych (wymiana zużytych).
- Wyjścia na połowy ze Świnoujścia poza pas przybrzeżny, na łowiska koło Bornholmu i w cieśninach duńskich.

POŁOWY DALEKOMORSKIE

Rybołówstwo dalekomorskie nie mieści się w ramach odbudowy, gdyż nigdy nie było go w rejonach ujścia Odry. Dopiero nowa sytuacja geopolityczna tej ziemi stwarza tu warunki jego istnienia. Dalekosiężne plany skoncetrowania rybołówstwa dalekomorskiego w Świnoujściu mają swoje piękne początki w roku 1947 w Szczecinie oraz powodują zadania na rok 1948.

W sezonie śledziowym 1947 roku przybyło do Szczecina 3 trawlerzy w 5 rejsach, które przywoziły 328.893 kg ryby wartości 30.409.765 zł. Przekroczyło to o 700 proc. symboliczne 100 ton wstawione do harmonogramu rozwoju rybołówstwa zachodniopomorskiego na rok pierwszy planu trzyletniego.

Zorganizowano i uruchomiono warsztat sieciarski w Trzebiezicy, który szkoli 20 sieciarek i sieciarzy podejmując się

montowania sieci dalekomorskich, które do tej pory są zakupywane za cenne dla nas dewizy zagranicą.

Forma eksperymentalna rybołówstwa dalekomorskiego w Szczecinie przeszła w formę stałej pracy.

Zadania eksploatacyjne w roku 1948 przedstawiają się następująco:

- Skierowanie 8 polskich trawlerów do stałej pracy w oparciu o Szczecin, ce przy 10 rejsach na trawler w miesiącach VII—XI powinno dać 80 rejs-trawlerów.
- Osiągnięcie połowów w wysokości 6.000 ton ryby.

Zadania bazy rybołówstwa dalekomorskiego w rejonie ujścia Odry w roku 1948.

- Przejęcie i przetworzenie ryby (głównie śledzia) w ilości 6.000 ton co przy szczytowej miesięcznej wyniesie 1.500 ton.
- Przygotowanie zapasów lodu sztucznego i naturalnego do załadunku na trawlerzy w ilości 4.000 ton, co przy miesięcznej szczytowej wyniesie 800 ton. Poważnie liczy się tu na uruchomienie fabryki lodu w odbudowanej chłodni rybnej na Łasztowni w Szczecinie.
- Przygotowanie węgla bankrowego w ilości 16.000 ton, co przy miesięcznej szczytowej wyniesie 3.200 ton.
- Wykorzystanie i uruchomienie przemysłu pomocniczego jak warsztatów produkcyjnych, bezek itp., oraz obsługi technicznej statków (stoczni).
- Rozwiązanie zagadnienia spolszczenia załóg i szyprow przy maksymalnym wykorzystaniu szczecińskiego materiału ludzkiego.

Poza zagadnieniami czysto eksploatacyjnymi i przygotowaniem odbioru i obsługi od strony ładu, przed rybakami z rejonu ujścia Odry stoją w roku zadania uporządkowania form władania taborami, stworzenia właściwych form spółdzielczej organizacji ich życia zbiorowego tak pod względem zawodowym, handlowym, kulturalno — oświatowym, jak i ubezpieczeń społecznych.

Wszystkie te problemy życia rybackiego w roku 1948 autor tego artykułu, przeznaczanego do tygodnika, którego ambicją jest reprezentowanie regionalnych zagadnień Ujścia Odry i który winien znaleźć się w rękach każdego rybaka, formował w zamiarze wciągając rzesz rybackich w świadome tworzenie życia na Pomorzu Zachodnim zgodnie z założeniami Trzyletniego Planu Narodowego.

Każdy z nas rybaków szczecińskich, bez względu na to czy łowi bezpośrednio ryby czy też przetwarza, czy też pracuje w administracji, — dobrze spełni swój obowiązek jeżeli w końcu 1948 r. będzie mógł stwierdzić, iż dla wykonania planu włożył maksimum wysiłku i zadania te zostały wykonane w stu procentach, a nawet ponad plan — jak to robią górnicy ze Śląska i włókiennicze z Łodzi.

Spółdzielczość hamuje skoki cen

Pożyteczna działalność Spółdzielni „Robotnik” w Szczecinie

Idea spółdzielczości w Polsce wciąż jeszcze domaga się popularyzacji. Daleko nam jeszcze do tego, by idea ta — jak to jest np. w gospodarniej Czechosłowacji — stała się własnością ogółu. Większość naszego społeczeństwa widzi w spółdzielczości tylko pewną formę zorganizowanego handlu, który daje członkom możliwość zakupu po cenach niższych, aniżeli rynkowe. Trzeba jednak wiedzieć, że poza tym sklepy spółdzielcze spełniają doniosłą rolę społeczną przez hamowanie skoków cen rynkowych. Im więcej takich sklepów — tym łatwiej uregulować rynek, tym trudniej przychodzi spekulantom śrubować swoje zyski kosztem rzesz konsumentów.

Największą — gdy chodzi o ilość sklepów — spółdzielnią w Szczecinie jest „Robotnik”. Korzystamy z uprzejmości dyr. Zawieruchy, by uzyskać garść informacji z działalności tej spółdzielni.

Spółdzielnia „Robotnik” powstała we wrześniu 1945 r., a więc w kilka miesięcy po objęciu Szczecina przez władze polskie. W miesiąc później nastąpiła fuzja Spółdzielni „Robotnik” ze Spółdzielnią „Osadnik”. Mimo dającego się wówczas dotkliwie odczuwać braku odpowiednich ludzi, kredytów, środków lokomocji — założono w tych pierwszych miesiącach 8 sklepów spółdzielczych (w tym 1 piekarnię). Obroty do końca tego roku były jednak jeszcze znikome i wynosiły niespełna 2 miliony złotych.

Zapytujemy o dalszy rozwój spółdzielni.

— Właściwy rozwój nastąpił od czerwca 1946 r. W tym czasie mieliśmy już 8 sklepów, a obroty do końca roku 1946 przekroczyły 37 milionów złotych. Otrzymałyśmy kredyty, odbudowane zostały gmachy. Obecnie — „Robotnik” ma już w całym mieście 32 sklepy, z czego 20 spożywczych, 1 piekarnię, 2 masarnie, 7 tekstylnych,

1 galenteryjny — kosmetyczny i 1 warsztat szewski. Już obecnie daje to możliwość regulowania cen i poważnego wpływu na rynek. W roku 1947 ogólne obroty spółdzielni wynosiły 300 milionów złotych.

Wzrost to istotnie imponujący. Spółdzielnia ma około 3000 członków — udziałowców, przyczym pierwotne udziały członkowskie, niesłychanie niskie (zaledwie 100 złotych), są stopniowo dobrowolnie przez członków podwyższane.

— Jakże praktyczne korzyści daje członkostwo spółdzielni?

— Przede wszystkim możliwość uzyskania towaru niezależnie od chwilowych wahań rynkowych. Poza tym ceny w spółdzielni są o 5 — 7% niższe od cen rynkowych. Wreszcie od ceny tej członkowie spółdzielni otrzymują dodatkowo 2% rabatu. Ogromną rolę spełniają również sklepy spółdzielcze w zakresie rozprowadzenia towarów na kartki.

— W roku 1948 — kończy dyr. Zawierucha — mamy nadzieję uruchomić dalsze 30 sklepów, tak, że ogółem liczba naszych sklepów dojdzie do 60. W dalszej przyszłości przewidujemy ogółem 100 sklepów „Robotnika”, co da nam możliwość decydującego wpływu na regulowanie cen rynkowych. Przewidujemy w roku 1948 budowę własnego wielkiego domu towarowego.

Kończymy rozmowę, życząc tak pożytecznej placówce spółdzielczej pomyślnego i obój jaknajszerszego rozwoju.

— Pozostaje nam zwięzić punkty spółdzielni. Wybieramy na chybił trafił 2 sklepy: jeden spożywczy przy ul. Bogusława 1, i jeden tekstylny przy Al. Wojska Polskiego 1.

W obu tych punktach ruch wielki, obsługa postępuje sprawnie, bez nieszczerých „ogonków”. Kierownik sklepu spożywczego, ob. Różnowicz znajduje chwilę czasu, by pokazać nam urządzenia skle-

powe. Czysto, porządnie, praktycznie rozmieszczono towary. Miesięczne obroty spółdzielni dochodzą do 3 milionów zł. Dziennie liczba klientów dochodzi do 500, bywają dni, gdy jest ich znacznie więcej. Przy okazji dowiadujemy się, że za pośrednictwem sklepów „Robotnika” rozprowadzono pomiędzy mieszkańców Szczecina w miesiącu listopadzie 32 tony cukru.

W sklepie tekstylnym przy Al. Wojska Polskiego ruch nieco mniejszy, za to zakup mają „poważniejszy” charakter. Obroty tego sklepu w ciągu trzech miesięcy dochodzą do 10 milionów złotych. Ceny są przeciętnie o 15% niższe od cen rynkowych. Frekwencja kupujących — do 300 osób dziennie.

Żegnamy się spółdzielczym pozdrowieniem. Obój jaknajszyciej powstało w Szczecinie więcej takich placówek!

W. Z.

Nagroda dla 1000-go sklepu spółdzielczego

W okresie najbliższych tygodni ilość sklepów spółdzielczych na Pomorzu Szczecińskim przekroczy liczbę jednego tysiąca, 1 grudnia br. było czynnych 992 sklepy.

W związku z powyższym ogłaszamy swego rodzaju konkurs, w którym mogą wziąć udział wszystkie spółdzielnie naszego Okręgu. Otóż zwycięzca sklepu spółdzielczego otrzyma nagrodę w postaci wyposażenia (urządzenia) sklepowego.

Wzywamy przeto wszystkie spółdzielnie, które w najbliższych tygodniach uruchomią nowe sklepy, aby zawiadomiły o powyższym bezpośrednio po uruchomieniu sklepu — Związek Rewizyjny Spółdzielców R. P. Dział Społeczno-Wychowawczy w Szczecinie, ul. Felczaka. W wypadkach wątpliwych decydującą będzie data stempla pocztowego.

Mamy nadzieję, że wiele Spółdzielni w związku z powyższym przyspieszy termin uruchomienia nowych sklepów.

JACEK SIEDLECKI

Prawo o banderze

Jako przedmiot majątkowy, statek morski, mimo że posiada wszelkie cechy rzeczy ruchomej jest prawem potraktowany jako nieruchomości. Obrót prawny statku jest zblizony do obrotu nieruchomością. Zbliżenie to następuje przez to, że zasadnicze czynności prawne, odnoszące się do statku, ujawnia się przez wpis do rejestru morskich statków handlowych.

W ten sposób weszliśmy w dziedzinę prawa o banderze. Prawo to jest w Polsce uregulowane ustawą z 28 maja 1920 r. o polskich handlowych statkach morskich (Dz. U. R. P. Nr. 47 poz. 285). Ustawa ta wylicza statki poczytywane jako polskie. Są nimi statki uprawiające żeglugę morską w celach zarobkowych, stanowiące własność Państwa, obywateli polskich, oraz osób prawnych, mających siedzibę w Polsce, w których przeważa kontrola kapitału i kierownictwo są polskie (art. 1). Wszelkie zmiany we własności statku lub udziałów na nim wpływają na cechę jego narodowości (art. 7). Statkiem morskim, jest również statek niezarobkujący żeglugą morską, jak jacht spacerowy, pilotowy, większy statek rybacki (trawler), szkolny, holownik, statek ratunkowy, a wreszcie statek wybudowany w kraju na rachunek cudzoziemca, aż do chwili zarejestrowania go na jego rzecz (art. 9).

Polskim statkiem morskim przysługuje prawo do polskiej bandery morskiej dające z kolei następujące uprawnienia: 1) do wyłącznego uprawiania żeglugi przybrzeżnej (kabotażu) na polskich wodach terytorialnych, 2) do ochrony wobec statków obcych w pełnym morzu w granicach prawa wyznaczonych międzynarodowych, 3) prawo do ochrony polskich władz ma-

rynarki wojennej, urzędów dyplomatycznych i konsularnych zagranicą, 4) prawa neutralności — w razie jej ogłoszenia przez Rząd Rzeczypospolitej, 5) prawa do pomocy ekonomicznej Państwa w granicach ustaw specjalnych (art. 5).

Prawo do bandery nakłada na statki pewne obowiązki. Szereg obowiązków natury policyjnej wynika z przepisów administracyjnych, jak z ustawy brzegowej, ustawy o szlakach morskich, o pomiarze statków, o bezpieczeństwie statków morskich i t.p. Ponadto statki te obowiązane są do podnoszenia na rufie wyłącznie polskiej handlowej bandery morskiej, do utrzymywania na statku polskiej załogi (za taką uważa się załogę złożoną w 3/4 z oficerów i marynarzy polskich obywateli) i używania w kierownictwie statku i prowadzeniu ksiąg języka polskiego.

Dla stwierdzenia praw służących polskiemu statkowi handlowemu morskiemu prowadzi się rejestr polskich handlowych statków morskich. Statki polskie są obowiązane zgłosić się do wpisu w tym rejestrze. Niedopuszczalny jest wpis wielokrotny, czyli, że jeżeli statek jest wpisany w rejestrze zagranicznym, to przed wykreśleniem tego wpisu niedopuszczalny jest wpis w rejestrze polskim.

Rejestr statków handlowych morskich, który będziemy w skrócie nazywać rejestrem okrętowym, jest księgą publiczną, a więc dostępną dla wszystkich zainteresowanych i służy do zapisywania danych co do tożsamości statku, jego własności oraz praw zastawowych. Publiczno-prawne znaczenie wpisu polega na tym, że wpis do rejestru statku stwierdza prawo statku do bandery. Bezpośrednim

skutkiem tego wpisu do rejestru jest wydanie przez sąd rejestrowy certyfikatu okrętowego, stwierdzającego prawo statku do bandery. Wpis statku do rejestru stwierdza zatem narodowość statku.

Drugim celem publiczno prawnym rejestru jest identyfikacja statku. Rejestr notuje i kontroluje dane odróżniające jeden statek od drugiego oraz stosunki jego własności. Certyfikat okrętowy odnotowuje też klasyfikację statku, która stanowi pośredni dowód jego zdolności do żeglugi.

Prywatno prawnie znaczenie rejestru okrętowego polega na ujawnieniu własności statku i prawa zastawu na statku. Jakkolwiek statek morski jest w obrocie zblizony do nieruchomości, to jednak rejestr okrętowy w swej strukturze różni się znacznie od księgi wieczystej. Niemiecka księga wieczysta służyła nie tylko do ujawniania praw na nieruchomościach, ale tylko przez wpis do niej następowało powstanie, zmiana lub zgaśnięcie prawa na nieruchomości, poza nielicznymi wyjątkami jak np. spadkobranie, kiedy własność nieruchomości przechodziła poza księgą. Różnica księgi wieczystej z rejestrem okrętowym zasadza się na różnicy pomiędzy nieruchomością i statkiem. Nieruchomość znajduje się stale na miejscu w obwodzie sądu prowadzącego księgę wieczystą, wszelkie nią obroty mogą być bez trudu bezwzględnie uwidaczniane w księdze, natomiast przeznaczeniem statku jest znajdować się za portem oczystym, poza siedzibą sądu rejestrowego, zatem w częściej ilości przypadków obroty statkiem nie mogą być poprzedzone wpisem do rejestru okrętowego. Statek

może być sprzedany zagranicą, nie można więc tych czynności uzależniać od dokonania wpisu do rejestru. Natomiast istnieje obowiązek zgłoszenia czynności podlegających wpisowi do sądu rejestrowego celem ich ujawnienia.

Tak deklaratoryjnym charakterem swym zbliża się rejestr okrętowy do polskich ksiąg wieczystych wprowadzonych w dniu 1. stycznia 1947. Wpis do rejestru bowiem jedynie rejestruje przejście własności, dokonane poza księgą, podobnie jak to czyni księga wieczysta.

Dla wszystkich polskich statków handlowych prowadzi rejestr Sąd Grodzki w Gdyni.

Książki Ziem Odzyskanych

Ziemi, na którą powróciliśmy, przywracamy polskości codziennym naszym trudem. Walczymy na froncie odbudowy gospodarczej, walczymy również musimy o odbudowę kultury Ziemi Odzyskanych.

Pomóżcie Szczecińskie — to kraj, o którym przed wojną nie wiele wiedziliśmy. Wiedzę tę musimy zdobyć, musimy jej szukać w książkach.

Nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Polskie Pismo i Książka” wydane zostały o Pomorzku Szczecińskim: W. Lachnita „Pod znakiem Gryfa”, T. Karpowicza „Legenda Pomorskie” oraz Cz. Piskorskiego „Zabytki Piastowskiego Szczecina”. W księgach tych znajdziemy niezbito dowody odwiecznej polskości Ziemi Odzyskanych. Przeczytawszy je, zrozumimy dokładnie, dlaczego o ziemi te walczyliśmy i dlaczego nie dopuszczamy nawet myśli o wyrzuceniu się ich.

Słowna, lecz estetyczna szata zewnętrzna podnosi wartość tych książek, których cena skalkulowana została tak nisko, że przystępna jest dla wszystkich. Książki te powinny się znaleźć w każdym polskim domu w Szczecinie.

Wyżej wymienione książki są do nabycia w księgarniach wydawnictwa „Polskie Pismo i Książka”: Al. Wojska Polskiego 41, Al. Wojska Polskiego 134, Parkowa 64 oraz we wszystkich księgarniach w Szczecinie i na prowincji. E. Sz.

Konferencja Spółdzielni Księgarskich w Szczecinie

W dniu 10 stycznia 1948 r. o godz. 9-tej w lokalu Związku Rewizyjnego Spółdzielni R. P. w Szczecinie odbył się konferencja Spółdzielni Księgarskich z następującym porządkiem obrad:

1. Zagajenie i wybór prezydium
 2. Struktura spółdzielczości księgarskiej w świetle obecnej reorganizacji.
 3. „Spolem” o Księgarni Spółdzielczej.
 4. Spółdzielczość księgarska w Szczecinie — cele i zadania
 5. Dyskusja
 6. Analiza rynku papierniczego wojew. szczecińskiego
 7. Zapoznanie delegatów z sortymentem towarów Oddziału Materiałów-Papiern. Z. G. S. „Spolem”
 8. Zamknięcie konferencji.
- Delegaci spółdzielni, którym połączenie komunikacyjne nieopowaloby na punktualne przybycie w dniu 10. 1. 1948 r. powinni przybyć w przeddzień konferencji. Noclegi w Związku Rewizyjnym zapewnione.

Każdą ilość ZESZYTÓW SZKOLNYCH dobrego gatunku ze znakiem wodnym C.Z.P.P.

odda bezpośrednio: Szkołom, sześcioletnim uczniom oraz do dalszej odsprzedaży firmom rejestrowanym, za oryginalnym rabatem

Dział Handlowy-Księgarni POLSKIE PISMO I KSIĄZKA

Szczecin, Al. Wojska Polskiego 41 Tel. 25-05
Zamówienia z prowincji wykonujemy również za zaliczeniem pocztowym.

Torebki kolonialne i piekarskie do wyboru papier „MANILLA” — „SZRENC”

WYTWÓRNIA TOREBEK P. P. K.

Szczecin, Al. Wojska Polskiego 39
HURT: Dział Handlowy Szczecin, Al. Wojska Polskiego 41 — Tel. 25-05

DETAIL: Księgarnie — Parkowa 64 Al. Wojska Polskiego 134

CENY ZNIZONE

TADEUSZ KRASZEWSKI

PILSKI ROBINSON

(Z pionierskich wspomnień)

Pila, pierwsze dni maja 1946 r.

Czas dzieli się na dni świąteczne, względnie uroczyste, oraz dni codzienne, zwykłe.

Po odbyciu akademii, uroczystych odsłonięciu, przyjęciu i wizyt, trzeba przejść do porządku powszedniego. Na wstępie stwierdzamy, że w naszej sytuacji t. j. w sytuacji ludzi, którzy wyruszyli organizować sobie nowe życie na wyłudniowych, zniszczonych i opuszczonych terenach najlepiej czułby się Robinson Crusoe. Oczywiście już po odbyciu kilkuletniej praktyki na swojej wyspie.

„Pionier” — jak my się tu, niby trochę żartobliwie, ale trochę poważnie i z ukrytą dumą nazywamy — powinien posiadać maksimum różnych uzdolnień i praktycznych umiejętności. Białe bowiem człowiekowi, który znalazł się tutaj, a nie opanował choćby w minimalnym stopniu znajomości ślusarstwa, szklarstwa, stolarstwa, nie potrafiłby pracować, gotować, nie ma dość siły, aby nosić różne ciężary, nie umie palić w piecu itd. itd. Taki będzie mieszkał w pokoju nie zamkniętym na klucz, pozabawionym szub, będzie siaład na złamanym krześle, przy beznogim stole, będzie chodził głodny, w brudnej koszuli, w ubraniu poszarpanym o rozmaite gwoździe. Każdy bowiem w organizowaniu sobie tutaj życia zdany jest wyłącznie na własne siły, na własną przemyślność i własne zdolności. O co się sam potarasz, to masz!

Urzednicy wojewódzcy mają własną stołówkę. Niech mi tego nie weźmie za złe jej kierownik (obecnie jest kierow-

nikiem jednej z restauracji poznańskich i żyjemy w dobrej przyjaźni — przyp. autora). Ale nie wydaje mi się, aby karmił nas luksusowo, a bodaj dostatecznie.

W czasie dni uroczystych dożywaliśmy się na przyjęciach. Później jednak nastąpiły dni chude.

Pewnego dnia zawiadomił nas ktoś, że w jednym mieszkaniu znajduje się duża ilość nut; paitytury, wyciągi operowe. Zainteresowanie się tym dobrem kulturalnym należy do naszych obowiązków. Udaliśmy się pod wskazany adres. Znaleźliśmy mieszkanie, wprawdzie nieburzone, ale noszące widoczne ślady dokonanej grabieży. W owym czasie coraz bardziej zdobywało sobie prawo obywatelstwa słowo „szaber”. W przestawionym mieszkaniu wszystkie podłogi były grubo pokryte pierzem. Poza tym wszystkie szafy, wszystkie szuflady porozwalane, a na podłodze wśród pierza porozrzucone książki, naczynia kuchenne, dziecinne zabawki, części bielizny, ubrania i tym podobne smęci.

Zbieramy, przeglądamy i wybieramy co wartościowsze nuty, których jest tu, rzeczywiście, sporo.

Profesor wyłania się nagle z głębi mieszkania i przynosi rewelacyjną informację.

— Kuchnia jest bardzo mało wyposażona, I — wiecie — są tam zamknięte drzwiczki prawdopodobnie do szpiżarni. Napewno znajdziemy tam zapasy.

Perspektywa jest necaca. Skrupuły błędna. Idziemy do kuchni. Badamy te-

ren. Przez okno widać wąskie okienko szpiżarni, a przez nie pólki z jakimś torebkami i słoikami. Ani chybi zapasy są.

Niestety drzwi do szpiżarni zatrzasknięte. Próbuje otworzyć zagiętym gwoździem — nic! Podważa pogrzebaczem — nic! Żąda dotarcia do lubyh zapasów żywności roślin. Musimy rozbić drzwi. Walimy w nie czym się da, co jest pod ręką. Ciężkim żelazkiem, stółkiem. Jedna deska już pęka. I nagle drzwi — ugięte widać naszą niezłomną wolą — poddają się i same cicho otwierają.

Trochę zażenowani, ale też ucieszeni wzięliśmy zdobyte zapasy, razem z nutami, znalezionymi w tymże mieszkaniu małym dziecinny wózek. Wózek ten później, długo towarzyszył nam w dalszych podróży. Teraz wnieśliśmy go szybko po schodach do swojego pokoju, aby nikt ze znanych nie wknął naszego szabru. Zamknawszy drzwi na klucz, wyładowaliśmy zdobycz.

— Smażymy naleśniki — zadecydował profesor, obejmując samorzutnie komendę nad kuchenną imprezą.

Następuje godzina kuchmistrzowskich czarów. I oto... jakże przyjemnie snuje się projekty na przyszłość, przy szklance własnoręcznie naparzonej kawy, którą zapija się grubo osmarowaną marmeladą pulchną naleśniki. Oczywiście, gwarzymy o Szczecinie. Przecież od przyjazdu jesteśmy stale wszyscy „na wsiadany”. Pila jest tylko etapem, Główny cel — to Szczecin. Dopóki toczyły się walki — nasza grupa operacyjna trwała w spokojnym oczekiwaniu. Kiedy doszły jednak wiadomości, że Szczecin zdobyty, wszystkich ogarnęła gorączka niecierpliwości.

— Kiedy wyjadz?

Ziarnko do ziarnka

Wieczór rycytatorski
K. Rychterówny

Długo głowiłem się nad tytułem. Bo tu nie chodzi o jednorazowe zatytułowanie felietonu, ale — o zaprowadzenie stałej rubryki, stałego działu, w którym by znalazły wyraz... co tu dużo mówić! przecież zobaczymy co będzie znajdować wyraz.

Nasunął mi się nieodparcie, wbrew woli, wyłaził z „pi. nierskiej” podświadomości takie słowa, jak: „zrab”, „basion”, „ziemica”, „rubież” itp., prosząc się o skojarzenia ich i skłeczenie z nich tytułu. A kys! a kys! Precz do lamusa tromtadracji. Fige! Nie będę was używać. Domierając na występienych językach hucytujących się o wielkość zasług położonych na tych... ziemiach. Ludzie dobrej woli nie mają zasług, ale poczucie spełnionego obowiązku. Nazywają tę ziemię — ziemia. I kropka. Nie mają języka na koturnach.

Spotkałem późnym wieczorem wigilijnym w opustoszałej al. Piastów mężczyznę i kobietę „Bardzo starzy oboje”. Byli to Piast i Rzepicha. Bardzo smutni. Zakosztowny tym niezwykłym spotkaniem, zapomniałem ich, dłażec błąkając się w ten piękny świąteczny wieczór miast śpiewać przepiastowskie koledy przy wigilijnym stole?

— Szukamy Komisji Specjalnej...
— ?!
— Tu przecież w skandaliczny sposób nadużywa się motywu piastowskiej...
— Towarzyszu Piastie — rzekłem — towarzyszyko Rzepichol! Nie smućcie się. Zapewniam was, że to jest już kończy. Jednym ze znaków na niebie i ziemi (wybaczenie, po raz ostatni używam tego słowa), świadczącym o stabilizacji na tym lingwistyczno-patriotycznie rozpróżnionym odcinku, jest fakt, że światlił meżowie o poczuciu humoru i przywołociści udaremnił niedawno organizację w tym mieście... „Związek Pionierów”. Zapewniam was, w schyłku tego roku, że z wybieciem godziny 12-tej w dniu 31 grudnia 1947 zamienimy z wozmożnym wysiłkiem bić w te dziwaczna wieżę Babel. Będziemy pilnie strzegli motywu naszej. Aby była prosta i skromna. Poważna, jak praca tu przez nas wykonywana.

Uścieniśmy sobie mocno ręce. — Czolem! — Czolem!
Schyłek (już tak się powiedziało) tego roku był zamienny pod wieloma wzglę-

dami. Kusztująca anemicznie za zwawo kroczącą Odbudową Kultura i Sztuka otrzymała zastrzyk. I... zawrzało.

Najpierw na łamach prasy. Kraków przysłał tu dra Franciszka Gila ze strzykawki. Doktor Gil ubił igłę bardzo głęboko i, mrugając filuternie rzekł: „Mówicie, że tu nie ma reakcji? Zobaczącie. I rzeczywiście. Zastrzyk zaczął działać. Pojawia się reakcja. Nawet b. silna.

Pióra miejscowych pisarzy, które tkwiły głęboko w warstwach kamienia łupanego, zostały odkopane, jak tomahawki, i pisarze wkrócili na ścieżkę wojenna.

Gil jak i wielu doktorów, popełnił pewne błędy. Użył za grubej igły, dokonał swej operacji ze stanowiska, które określa się stanowiskiem „z góry” (choć do tego miejsca, w które ubił igłę trzeba się schylić), no i nie uszytkie składniki surowicy użytej do operacji, zostały trafnie dobrane. Ale nawet taki zastrzyk spełnił ważną rolę: pobudził wątły organizm do życia, do walki.

Polemika, proszę państwa, to jest polemika. Nie powinno się w niej „przeciwnikowi” wypominać takich czy innych posad, bo to nie jest argument a tzw. „wyścienka osobista”. Dra Waleriana pomysł temperament. Natomiast pióro w żyłastej rękawce Karpowicza sadło ciosy według dobrych zasad chirurgii poleniicznej. Pod jego skalpelem Gil rzeczywiście znalazł się „pod Gil-otyną”.

Polemika toczyć będzie się chyba nadal. Z korzyścią zapewne dla kultury i sztuki. Ale czy z korzyścią dla Kultury i Sztuki? Rok-novorodek pokaże. Bo narazie literacki organ tego urzędowego ciała ulepiętego w Szczecinie na miarę... spółdzielni krawiectkiej, przystąpił do klasyfikacji literatów szczecińskich na elementy STALE i... NAPLYWOWE. Organ począł gromić marnystów i w ogóle marnystykę, wołając o literaturę... bialo-czerwoną. Nawigując ni przypisał ni przylał do wiersza Galczyńskiego, „Pieśń o fladze”.

Okazuje się, że nie każdy może słuchać wierszy Galczyńskiego. Niektórzy zieleńca z tego i robi się z nich „Zielona Geś”.

A z Galczyńskim to było tak. Masa narodo na wieczorze. Za mną stał (zabrakło nawet miejsc siedzących) pewien młody, ładnie inteligentny człowiek, mniemam

parający się piórem, tylko w innej dziedzinie.

— Co to właściwie jest? Nic nie rozumie. — Mówi młody oraz inteligentny człowiek.

Galczyński czytał akurat swój wspaniały wiersz, bodaj najlepszy w jego dorobku poetyckim. — „Portret Muzy”, z powtarzającym się dźwięcznym i mocnym refranem: „Euterpe, Alleluja”. Gdy było: „Zielona geś, Alleluja” napewno wiersz został by zrozumiany.

Ten wieczór i dwa inne, Broniewskiego i Koźnińskiego, stały się drugim mocnym zastrzykiem kulturalnym dla Szczecina. To były dalsze znaki na niebie i na ziemi że u nas, nie tylko, że „ruszyło się” na tym ugorze, ale — że jest dla kogo „robić kulturę”. (Mam na myśli frekwencję a więc masę a nie specjalnie owego młodego człowieka).

I tak! Zbieramy dopiero drobne okrucy faktów, wydarzeń kulturalnych w naszym mieście kultury odzyskiwanej. Ziarnko do ziarnka (Plewy — na bok). Dlatego też „wygłowił” mi się ten nagłówek. Niechaj też będzie na stałe. Rejestr: Rzecujących ziarnka, zbierających je do miarki i... przebieających miarkę.

ST. SZYDŁOWSKI

KOESPONDENCJA

Dr. L. Wasilkowski, Olawa. Dziękujemy za słowa uznania i zachęty. Działo, o których Pan wspomina, będziemy się starali stopniowo wprowadzić w miarę rozwoju pisma. Do sprawy silnego związku społeczeństwa z zagadnieniami morza i wybrzeża przykładamy również największą wagę. Warunki techniczne uniemożliwiają nam narazie drukowanie planów i większej ilości rysunków.

L. B. w Słupsku. Dziękujemy za słowa uznania. W najbliższym czasie postaramy się o uruchomienie stałego punktu. O korespondencję prosimy.

Włodan Wernik w Szczecinie. Sprawie połowów rybackich poświęcamy w niniejszym numerze dłuższy artykuł, otwierając nim stałą rubrykę dla spraw rybołówstwa morskiego.

wania monografii Szczecina, oraz nagrody artystyczne. Wspominał również Prez. Zaremba o czynionych staraniach, by do Szczecina przeniesiony został Uniwersytet im. Curie-Skłodowskiej, dotychczas mieszczącej się w Lublinie. Rzecz oczywista, że przeniesienie to spowodowałoby ogromne ożywienie ruchu naukowego w naszym mieście.

Również wiceprezydent Maciejewski zabierał głos w tej materii, twierdząc, że i w roku ubiegłym władze miejskie przeznaczyły dość znaczne fundusze na życie kulturalne Szczecina, przytaczając na poparcie tego twierdzenia szereg interesujących cyfr.

WNIOSKI

Sprawa planowości i koordynacji poczynań kulturalnych wymaga z jednej strony powołania organizacji centralnej — myślę o Wojewódzkiej Radzie Kultury, która zajęłaby się mobilizacją środków materialnych i stroną ideowo-organizacyjną — oraz fuzji placówek, mających te same cele statutowe. Przykład porozumienia programowego rozgłośni regionalnych Polskiego Radia w Bydgoszczy, Gdańska, Poznania i Szczecina, współpracą Klubu Literacko - Artystycznego z „Czytelnikiem”, Konfraternia Artystyczna, skupiająca Dziennikarzy i Plastyków — powinny naśladować inne luzem chodzące organizacje.

Wypracowanie regionalnego planu aktywizacji kulturalnej Szczecina i Pomorza Zachodniego — o którym niestety nie padło ani jedno słowo w dyskusji! — i postulowane przez prelegenta porozumienie „producentów” kultury z kierownikami rzesz jej konsumentów (związkami zawodowymi i dyrekcjami zakładów pracy) — byłoby dużym krokiem naprzód na drodze do ożywienia i właściwego zorganizowania ruchu kulturalnego w Szczecinie.

Walerian Lachnitt

Aktywizacja kulturalna Szczecina

Wieczór dyskusyjny Klubu Literacko-Artystycznego i „Czytelnika”

Staraniem Klubu Literacko - Artystycznego oraz „Czytelnika” odbył się ostatnio w Szczecinie bardzo interesujący wieczór dyskusyjny, poświęcony zagadnieniom aktywizacji życia kulturalnego naszego miasta.

Referat pt.: „O nowe oblicze kulturalne Szczecina” wygłosił dr. Stanisław Telega, dając krótki przegląd dotychczas wykonanych prac w dziedzinie organizacyjnej oraz analizując szereg przyczyn, które spowodowały, że życie kulturalne Szczecina nie rozwinoło się dotychczas tak silnie, jakby należało oczekiwać.

Główne przyczyny, hamujące rozwój życia kulturalnego naszego miasta, to — zdaniem prelegenta: 1) brak koordynacji wysiłków organizacyjnych, podejmowanych w rozmaitych ośrodkach; 2) nie zawsze dostateczne jeszcze rozumienie doniosłej wagi tych spraw przez czynniki dysponujące środkami materialnymi. Prelegent wspominał m. in., że starostwo Nyskie przenvazyło 500.000 — zł. na nagrody artystyczne, Zarząd M. Opola 100.000 — zł., Gdańska Woj. Rada Narodowa 100.000 — zł., Wrocławską Wojew. Radę Narodową 2 nagrody po 75.000 — zł. Województwo Szczecińskie natomiast przeznaczyło dotychczas tylko 50.000 — zł. na nagrodę „Odry”.

DYSKUSJA

Rzeczą wielce charakterystyczną była niezwykle ożywiona dyskusja, którą wywołał referat dr. Telegi. Widać było, że poruszone przez niego problemy obchodzą społeczeństwo szczecińskie bardzo żywo. Padaly słowa nieraz dość ostre, do-

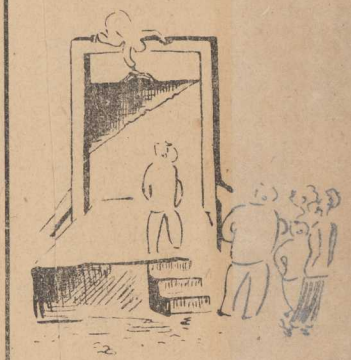
chodziło chwilami nawet do dość niemiłych ataków o charakterze raczej osobistym. Mimo wszystko dyskusja świadczyła, że problem aktywizacji życia kulturalnego dojrzał już w Szczecinie, że dalsze „spychanie” tego zagadnienia na plan dalszy nie da się już niczym uzasadnić — zwłaszcza w świetle ostatnich, najbardziej miarodajnych i zdecydowanych oświadczeń najwyższych czynników państwowych.

W dyskusji nie zabrakło i głosu surowej krytyki ze strony konsumentów dóbr kulturalnych. Jeden z przedstawicieli tych konsumentów zarzucił przedstawicielowi świata literacko - artystycznego Szczecina, że wydajność ich pracy w stosunku do ilości zajmowanych stanowisk jest zbyt niska. Być może, jest to nieporozumienie. Nie należy mieszać, właściwej twórczości z niewątpliwie istotnym również zadaniem organizacji życia kulturalnego. Twórców wartości kulturalnych w naszym mieście jest jeszcze niewątpliwie za mało, organizatorów... może nieco za dużo. Chodziłoby więc o zlanie marnujących się dotychczas wysiłków organizacyjnych w jeden żywy i twórczy prąd — co zresztą jako postulat wysuwno w dyskusji wielokrotnie.

POCIESZAJĄCE ZAPOWIEDZI

Interesujące i pocieszające zapowiedzi padły ze strony Prezydenta m. Szczecina, inż. Zaremby. Zapowiedział on mianowicie, że w r. 1948 przewidziana jest poważna dotacja dla teatrów w wysokości 600.000 — zł. Przewidziana jest również poważne stypendium naukowe dla opra-

Literaci pod Gil-otyną



Literat Franciszek Gil poddał „miażdżące” krytykę, dotychczasowe prace literackie środowiska szczecińskiego.

Redaguje Komitet — Redaktor naczelny przyjmuje od 10—12. Adres Redakcji i Administracji: Szczecin Al. Wojska Polskiego 41 — Redakcja i administracja czynne od godz. 8 — 16. Telefon 25-06. Nadesłanych rękopisów nie zwraca się. Prenumerata miesięczna — 70 zł, kwartalna 225 — zł, półroczna — 440 zł, roczna — 860 zł.

Cennik Ogłoszeń: Ogłoszenia za 1 mm łamu szer. 63 mm w dziale ogłoszeniowym — 30 zł, w tekście — 60 zł, Ogłoszenia drobne: Za 1 słowo drukiem zwyczajnym — 20 zł, drukiem tłustym — 40 zł (przyjmuje się najmniej 10 słów). Strona — 40000 zł, 1/2 strony 20000 zł, 1/4 strony — 10000 zł, 1/8 strony — 5000 zł, 1/16 — str. — 3000 zł.

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Polskie Pismo i Książka” — Szczecin Al. Wojska Polskiego 39 — Telefon 25-06 — Tłoczono w Drukarni Państwowej nr. 1 w Szczecinie ul. Św. Krzysztofa 7. X-07555